

Czytanki majowe o salezjańskich męczennikach

ks. Janie Świercu i jego Towarzyszach

Wstęp

W proponowanych czytankach majowych zapoznamy się z dziewięcioma kapłanami salezjanami, którzy zostaną już wkrótce wyniesieni na ołtarze (6 czerwca 2026 roku). Oni na wzór św. Jana Bosko – założyciela Zgromadzenia Salezjańskiego – czcili Maryję Wspomożycielkę Wiernych i Jej powierzali całe swoje kapłańskie oraz życie tych, do których zostali posłani. Ksiądz Bosko często powtarzał: „Jeśli chcecie wiedzieć, co to są cuda, powierzajcie trudne sprawy Wspomożycielce”. Był przekonany, że to Ona przyprowadza każdego salezjanina do zgromadzenia. A czasy, w których żyli, były bardzo trudne i trudnej młodzieży też nie brakowało. Okres międzywojenny dla Polski i dla Kościoła nie był łatwy. Uzyskana co dopiero niepodległość wciąż narażona była na ponowną utratę, więc bronili jej z całych sił – aż do końca, do uwięzienia, przelania krwi i męczeństwa. Ich życie było pełne cudów i cudem jest też ta ich beatyfikacja. Dlatego warto zapoznać się z ich życiem i drogą do męczeństwa, aby poznać wielką siłę miłości Wspomożycielki Wiernych i przykład Jej wiernych synów: ks. Jana Świerca i jego towarzyszy.

Opracował ks. Jacek Ryłko SDB

Spis czytanek

1. Beatyfikacja sługi Bożego ks. Jana Świerca i ośmiu towarzyszy
2. Dlaczego musieli zginąć?
3. Męczennicy prześladowani za wiarę
4. Cierpieć i być wzgardzonym – bł. ks. Józef Kowalski
5. Perła Ewangeliczna – sługa Boży Jan Tyranowski
6. Świadectwo wiary męczenników.
7. Sługa Boży ks. Jan Świerc – pierwszy i najstarszy
8. Ks. Jan Świerc – aresztowanie i męczeńska śmierć
9. Sługa Boże ks. Ignacy Antonowicz – wybitny i dobry człowiek
10. Ks. Ignacy Antonowicz – męczennik najdłużej umierający
11. Sługa Boży ks. Ignacy Dobiasz – nauczyciel i spowiednik
12. Ks. Ignacy Dobiasz – męczennik konfesjonatu
13. Sługa Boży ks. Karol Golda – najmłodszy z aresztowanych
14. Ks. Karol Golda – męczennik tajemnicy spowiedzi
15. Sługa Boży ks. Franciszek Harazim – profesor erudyta
16. Ks. Franciszek Harazim – zginął wraz ze swoim uczniem
17. Sługa Boży Kazimierz Wojciechowski – młody i pełen zapału
18. Ks. Kazimierz Wojciechowski – umęczony wraz ze swym profesorem
19. Sługa Boży ks. Ludwik Mroczek – prawdziwy salezjanin
20. Ks. Ludwik Mroczek – tytan cierpienia
21. Sługa Boży Ks. Włodzimierz Szembek – hrabia ze znanego rodu
22. Ks. Włodzimierz Szembek – męczeństwo za Rudolfa Hessa
23. Sługa Boży Franciszek Miśka – łódzki zarządca
24. Ks. Franciszek Miśka – męczennik Dachau
25. Świętość męczenników
26. Wierni synowie św. Jana Bosko
27. Polscy salezjanie
28. Uwiarygodnienie kapłaństwa
29. Przesłanie nadziei
30. Przebaczenie i miłość miłosierna

1 maj 206

Beatyfikacja sługi Bożego ks. Jana Świerca i ośmiu towarzyszy

29 kwietnia 2021 r., z inicjatywy biskupów polskich, obchodzono Dzień Męczeństwa Duchowieństwa Polskiego, upamiętniający nazistowskie prześladowania, które spowodowały śmierć 2812 księży, w tym 4 biskupów, 1863 księży diecezjalnych, 289 zakonników, 149 seminarzystów, 205 braci zakonnych i 289 sióstr zakonnych.

Z relacji ocalałych wynika, że powodem ich śmierci był antychrześcijański charakter nazizmu: niemieccy żołnierze bluźnili Bogu, znieważali Kościół i nazywali księży „psami Rzymu”. Zmuszali do znieważania krucyfiksu i różańca. Dla księży była to straszna próba. W tej „maszynie śmierci” zostali wezwani do poświęcenia życia, aby pozostać wiernymi aż do śmierci.

Do grona męczenników nazizmu w tamtych latach zalicza się również dziewięciu polskich księży salezjanów – ks. Jana Świerca i ośmiu towarzyszy, których proces beatyfikacyjny dobiegł końca i został wyznaczony termin uroczystego ogłoszenia ich błogosławionymi. Nastąpi to 6 czerwca 2026 roku, w Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie-Łagiewnikach. Poprzez te czytanki majowe chcemy się przygotować do tego ważnego wydarzenia i zapoznać się z ich postaciami oraz drogą przez męczeństwo do świętości.

Wszyscy oni byli salezjanami – duchowymi synami św. Jana Bosko. Wszyscy byli czcicielami Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych. Dla Księdza Bosko Maryja była Mistrzynią w dziele wychowania biednej młodzieży. Święty często powtarzał: „Maryjo, Wspomożenie Wiernych, módl się za nami” i zapewniał o niezwykłej skuteczności tego wezwania. Stwierdzał ponadto: „Wszystko zawdzięczam Maryi Wspomożycielce Wiernych! Wszystko, co osiągnąłem w swoim życiu, było Jej dziełem!”. To pełne zaufanie do Maryi przyniosło mu zwycięstwo w walce o duszę. Wołał: „Da mihi animas, caetera tolle” – „Daj mi dusze, resztę zabierz”. To zawołanie stało się później dewizą salezjanów. Hasło to oznacza pierwszeństwo zbawienia dusz nad sprawami materialnymi, wskazując, że najważniejsza jest troska o zbawienie duszy, a wszystko inne ma charakter drugorzędny.

Nasi męczennicy również niejednokrotnie doświadczali pomocy Maryi Wspomożycielki w różnych trudnych momentach ich życia, kiedy to ich wierność Bogu i ojczyźnie wystawiona była na ciężką próbę. Ona wspomaga swych wiernych synów w dochowaniu wierności aż do końca. Bo „kto wytrwa do końca, ten będzie zbawiony!” – mówi Pan Jezus (Mt 24, 13). Sześciu z nich zostało aresztowanych przez gestapo w przeddzień Jej święta – 23 maja 1941 r. (ks. Jan Świerc, ks. Ignacy Dobiasz, ks. Franciszek Harazim, ks. Kazimierz Wojciechowski, ks. Ignacy Antonowicz i ks. Ludwik Mroczek). Najstarszy z nich, który jednocześnie stał na czele całej grupy, to 64-letni ks. Jan Świerc – dyrektor i proboszcz parafii dębnickiej. Za nim, w kolejności malejącego

wieku, uplasował się sługa Boży ks. Ignacy Dobiasz, który odszedł z tego świata w wieku 61 lat. Trzech nie ukończyło 60-tego roku życia: ks. Włodzimierz Szembek – 59 lat, ks. Franciszek Harazim – 56 lat i ks. Ignacy Antonowicz – 51 lat. Ksiądz Franciszek Miśka zginął w wieku 43 lat. Dwaj Słudzy Boży, ks. Ludwik Mroczek i ks. Kazimierz Wojciechowski nie przekroczyli progu 40 lat: pierwszy został zabity w wieku 36 lat, drugi w wieku 37 lat. Najmłodszym z tej grupy był ks. Karol Golda, mający zaledwie 27 lat.

Sława ich świętości i męczeństwa, choć utrudniona w okresie komunizmu, rozprzestrzeniła się zaraz po ich śmierci i do dziś jest bardzo żywa. Już za życia byli uważani za wzorowych kapłanów, oddanych pracy duszpasterskiej i dziełom miłosierdzia, uprzejmych, zawsze dostępnych, zainteresowanych oddawaniem chwały jedynie Bogu, dla którego byli wierni aż do przelania krwi.

2 maja 2026

Dlaczego musieli zginąć?

Naród polski zawsze był katolicki i silny w poczuciu swej narodowości. Ukształtowany przez tradycję rzymską i chrześcijańską, duchowo wierny cywilizacji Zachodu, stał się jej strażnikiem na Wschodzie. Utało się powiedzenie: *Polonia semper Fidelis* (Polska zawsze wierna). Powiedzenie to wiąże się z ideą *przedmurza chrześcijaństwa*. Polska, *prawowierna córka Kościoła*, była określana mianem niezłomnego muru całej Europy. Wiele jest przykładów dzieł powstałych w XVI i XVII w., których autorzy nazywają Polaków Sarmatami, jedynymi z najlepszych i najwierniejszych obrońców kultury zachodniej.

Przywilej ten był jednak uważany za poważną przeszkodę w realizacji ideałów zarówno niemieckich nazistów, jak i rosyjskich sowietów. W sierpniu 1939 r. podpisano pakt niemiecko-sowiecki Hitlera ze Stalinem, który pozwolił Niemcom i Związkowi Radzieckiemu stworzyć strefy wpływów w Europie Wschodniej. Nazistowskie Niemcy i komunistyczny ZSRR połączyły siły, aby zniszczyć naród polski. 1 września Niemcy napadły na Polskę od północy, zachodu i południa, a 17 września Związek Radziecki najechał Polskę od wschodu. Wydarzenia te zapoczątkowały II wojnę światową, która trwała od 1939 do 1945 roku.

Męczeństwo ks. Jana Świerca i ośmiu jego towarzyszy miało miejsce w kontekście tej wojny. Dla niemieckich okupantów fakt, że salezianie głosili kazania i nauczali w języku polskim, że wychowywali młodzież, był wystarczającym powodem, aby uznać ich za winnych działalności antyniemieckiej. Dlatego też wciąż powraca ich oskarżenie o „patriotyzm”. Dla niemieckich oprawców bowiem polski patriotyzm był rozumiany jako opór wobec niemieckiego nacjonalizmu. Sytuacja w Polsce była uważana za szczególnie szkodliwą. Tak zwana polska inteligencja, czyli wykształcona i wpływowa klasa rządząca, której znaczną część stanowiło duchowieństwo, uważana była za szczególnie niebezpieczną do wywierania wpływu na pokaźną część Polaków. Totalitarny korzeń niemieckiego nazizmu chciał mieć pod kontrolą wszystko, co sprzeciwiało się ich zaborczym interesom. Nazizm, który narodził się jako partia, szybko przekształcił się w ideologię i substytut religii, którego celem nie było już tylko proste podporządkowanie sobie innych religii i państw, ale ich przekształcenie na własną modłę. Kościół, jako antyteza tej doktryny, stał się szczególnym celem zbrodniczych działań nazistów.

Pierwsze nakazy aresztowania duchownych zostały wydane przez Reinharda Heydricha 7 września 1939 r. Według niego aresztowanie księży było niezbędne do zapewnienia germanizacji terytoriów okupowanych przez nazistowskie Niemcy. Szlachta, duchowieństwo katolickie i Żydzi muszą zostać zlikwidowani i mają być wydaleny z terytoriów przyłączonych do Rzeszy. Ludzi należy rozstrzelać lub powiesić

natychmiast, bez przeprowadzania śledztwa. Zadanie to powierzono Heinrichowi Himmlerowi. Liczba aresztowań wzrosła po ataku Niemiec na Związek Radziecki w 1941 r. W tym samym roku Himmler nakazał pierwsze masowe egzekucje duchownych. Wielu polskich księży trafiło do obozów koncentracyjnych w Dachau, Auschwitz, Sachsenhausen, Majdanku, Stutthofie, Gross-Rosen i innych.

We wszystkich okupowanych krajach zamordowano 4000 księży katolickich. Spośród nich 2804 stanowili polscy duchowni katolicy. W obozach koncentracyjnych, na froncie i jako ofiary wojny zginęło 73 salezjanów (43 księży, 12 kleryków i 18 koadiutorów czyli braci zakonnych).

W tym kontekście należy podkreślić, że męczeństwo ks. Jana Świerca i towarzyszy było wynikiem nienawiści do religii katolickiej i do ich polskości. Nie da się ich oddzielić od siebie, bo Polak to katolik. Wierność Bogu i Ojczyźnie stanowią bowiem nierozzerwalny związek. Zamordowani salezjanie byli kapłanami i Polakami, dlatego uderzono w nich z podwójną siłą i nienawiścią. Przebieg ich aresztowania, przesłuchania, maltretowania, pobyt w obozach koncentracyjnych i męczeństwo sług Bożych, ukazuje nam ich męstwo, a jednocześnie okrucieństwo niemieckiego okupanta wobec nich, ale Maryja Wspomożycielka Wiernych pomogła im dochować wierności aż do końca.

3 maja 2026

Męczennicy prześladowani za wiarę

W liście apostolskim „Tertio Millennio Adveniente” ogłoszonym z okazji roku jubileuszowego dwutysięcznego Jan Paweł II pisał: „W naszym stuleciu wrócili męczennicy. A są to często męczennicy nieznani, jak gdyby »nieznani żołnierze« wielkiej sprawy Bożej”. Przypomniawszy w ten sposób ofiarę licznych chrześcijan XX wieku, którzy padli ofiarą ideologii nazistowskiej i komunistycznej.

Symbolem męczeństwa polskiego duchowieństwa jest obóz koncentracyjny w Dachau pod Monachium, gdzie uwięziono łącznie 2801 duchownych: zginęło 1034, w tym 868 Polaków. Tylko nieliczni przeżyli piekło Dachau. Wielu seminarzystów i księży zostało aresztowanych 7 listopada 1939 r. i osadzonych najpierw w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, a następnie w Dachau, gdzie poddawano ich nieludzkiej pracy, mroźnej zimie i upalnemu latu, niedostatecznym racjom żywnościowym, biciu i poniżaniu, aby zniszczyć człowieka, doprowadzając go do skrajnego wyczerpania. A kiedy nie byli już w stanie pracować, byli przenoszeni tak zwanymi „transportami inwalidów” do komór gazowych.

Do obozów koncentracyjnych kierowano wszystkich, którzy publicznie sprzeciwiali się reżimowi, prześladowanych z powodów politycznych, religijnych lub rasowych, bez należytego procesu czy możliwości jakiegokolwiek obrony. Obozy te stanowiły główne narzędzie unicestwiania, a zarazem odstraszenia. Tutaj więzień był szybko rejestrowany i otrzymywał numer identyfikacyjny, który od tego momentu zastępował jego tożsamość. Zmuszeni do pozbycia się swoich cywilnych ubrań, byli następnie zmuszeni do noszenia pasiaków, często używanych, zniszczonych, o zbyt niskiej jakości, aby chronić ich przed zmiennymi warunkami pogodowymi.

Więźniowie byli podzieleni na kategorie, z których każda była oznaczona trójkątem z kolorowego materiału, przyszytym do więziennego pasiaka i skierowanym w dół: czerwony – dla więźniów politycznych lub wrogów państwa, zielony – dla pospolitych przestępców, różowy – dla homoseksualistów, czarny – dla pasożytów i ludzi aspołecznych. Zupełnie inny był symbol identyfikujący Żydów: trójkąt wskazujący kategorię przestępczą, do której należeli oraz drugi trójkąt ustawiony w przeciwnym kierunku i zabarwiony na żółto, tworząc gwiazdę Dawida. Księża, ponieważ byli uważani za wrogów politycznych, byli identyfikowani za pomocą czerwonego odwróconego trójkąta. W trójkącie umieszczano również początkową literę narodu, do którego należeli.

Po zakończeniu procedury przyjęcia więzień był przydzielany do jednostki obozowej, która miała za zadanie zapewnić mu łóżko i trochę jedzenia. To ostatnie było tak skromne pod względem jakościowym i ilościowym, że w porównaniu z ciężką pracą, której poddawany był więzień, nie pozwalało na dłuższe zachowanie zdrowia. Każdy

więzień był następnie przydzielany do „oddziału pracy”, gdzie pracował w niewolniczych warunkach. Od momentu wejścia do obozu koncentracyjnego ich praca odbywała się wśród obelg, bicia i natarczywego poniżania więźniów: ich fizyczne i psychiczne wyczerpanie było nieuniknione i szybkie. W obozach koncentracyjnych byli poddawani kontroli i sadyzmowi zarówno SS, jak i kapo, którzy również byli więźniami, ale mieli za zadanie kontrolować innych więźniów. Wszelkie zachowania między więźniami podyktowane humanitaryzmem i solidarnością były karane. W pierwszej kolejności ginęły osoby starsze. Ponadto wszyscy ci, którzy nie nadawali się do pracy, byli szybko skazywani na śmierć. Dla innych agonია trwała nadal i towarzyszyły jej choroby, dla których nie zapewniono odpowiedniej opieki zdrowotnej.

Podczas gdy inni więźniowie mogli odpoczywać w swoich blokach podczas przerw w pracy, jedyną przerwą dozwoloną dla księży było pójście do toalety. Była to wtedy okazja do modlitwy i wzajemnego wsparcia. Praktyki religijne były surowo zabronione. Bardzo rzadko tolerowano modlitwy i spontaniczne grupy modlitewne. Częstsze były natomiast ciche modlitwy odmawiane po wieczornym apelu. Tylko w wyjątkowych przypadkach i potajemnie można było sprawować Eucharystię i słuchać spowiedzi. Odkrycie hostii mogło być powodem bardzo surowych kar.

4 maja 2026

Cierpieć i być wzgardzonym – bł. ks. Józef Kowalski

Do dziewięciu męczenników salezjańskich, którzy będą beatyfikowani 6 czerwca br., należy dołączyć jeszcze bł. Józefa Kowalskiego, który już wcześniej, bo w 1999 r., został beatyfikowany wraz z innymi stu ośmioma męczennikami II wojny światowej.

Józef Kowalski urodził się 13 marca 1911 r. w Siedliskach koło Rzeszowa. Po ukończeniu szkoły podstawowej rozpoczął naukę w Zakładzie Salezjańskim Księdza Bosko w Oświęcimiu. Wśród kolegów wyróżniał się bystrością umysłu, pobożnością i pilnością. Już pod koniec pobytu w szkole salezjańskiej w Oświęcimiu przysły błogostawiony zaczął prowadzić osobiste zapiski. Wśród nich znajdujemy m.in. takie słowa: „Bez silnego postanowienia człowiek jest jak młyn bez wody”, „Dusza ludzka jest jak pszczoła, która szuka słodyczy na gorzkich kwiatkach”.

Po pięciu latach nauki w Oświęcimiu wstąpił do nowicjatu salezjańskiego w Czerwińsku nad Wisłą i po jego ukończeniu, 24 lipca 1928 r., złożył śluby zakonne na ręce ks. kard. Antoniego Hlonda, późniejszego Prymasa Polski, również kandydata na ołtarze. Potem studiował filozofię i teologię w salezjańskim seminarium w Krakowie. 29 maja 1938 r. przyjął święcenia kapłańskie.

„Cierpieć i być wzgardzonym” – te słowa zapisał młody kleryk Józef w swoim pamiętniku, pod małym krzyżem nakreślonym własną krwią. Stały się one jego życiową dewizą. O jego wytrwałym dążeniu do świętości świadczą również słowa zapisane w 1930 roku: „O mój Drogi Jezu, daj mi wolę wytrwałą, stanowczą, silną, bym zdołał wytrwać przy swoich świętych postanowieniach i dopiąć szczytnego ideału świętości, jaki sobie zakreśliłem. Ja mam i muszę być świętym”.

Po święceniach kapłańskich powierzono mu obowiązki sekretarza inspektorialnego. Chętnie angażował się także w pracę duszpasterską, szczególnie wśród młodzieży w parafii św. Stanisława Kostki w Krakowie. W czasie okupacji władze niemieckie, zaniepokojone gorliwą działalnością salezjanów na Dębnikach, postanowiły ją zlikwidować. 23 maja 1941 r. gestapowcy wtargnęli do domu i aresztowali ks. Józefa Kowalskiego wraz z innymi współbraćmi. Zarzucano im działalność polityczną i „bałamucenie” młodzieży. Odczytano wyrok: za rzekome kłamstwa, przestępstwa przeciw porządkowi publicznemu, konspirację i uchylanie się od zarządzeń władz niemieckich skazani zostają na obóz koncentracyjny w Oświęcimiu.

Po miesięcznych torturach w więzieniu Montelupich, 26 czerwca 1941 roku zostali przewiezieni do Auschwitz. Świadkowie zeznają, że ks. Kowalski bezgranicznie ufał Opatrzności i poddawał się woli Bożej. Siłę czerpał z modlitwy, Eucharystii oraz nabożeństwa do Matki Bożej Wspomożenia Wiernych. W obozie organizował modlitwy, potajemnie odprawiał Mszę św., udzielał sakramentów. Spotkał się tam kilkakrotnie z o. Maksymilianem Kolbem. Pod jego inspiracją, w uroczystość

Niepokalanego Poczęcia NMP, zorganizował Akt Oddania Więźniów Oświęcimskich Maryi Niepokalanej. Świadkowie podkreślają, że wnosił wszędzie ducha pogody i nadziei. Spowiadał potajemnie, pocieszał załamanych, rozgrzeszał konających. Zachował godność kapłana do końca.

Zawsze nosił przy sobie różaniec. I właśnie w obronie różańca oddał życie. Było to 31 maja 1942 r., przed planowanym wyjazdem do Dachau, w obozowej łaźni esesman Gerhard Palitzsch zauważył coś w jego dłoni. Uderzył go, a na ziemię wypadł różaniec. „Podepcz to!” – rozkazał. Ksiądz Józef odmówił. Za niewykonanie rozkazu został skierowany do kompanii karnej – co w praktyce oznaczało wyrok śmierci. 3 lipca 1942 r. był jego ostatnim dniem. Po torturach wrzucono go do beczki i kazano wygłosić kazanie o Miłosierdziu Bożym. Wtedy zaczął modlić się słowami „Ojcze nasz”. Zrobił to ogromne wrażenie na więźniach, a nawet na oprawcach. Później został brutalnie pobity i utopiony w beczce z fekaliami.

5 maja 2026

Perła Ewangeliczna – Sługa Boży Jan Tyranowski

Świadkiem aresztowania salezjanów na Dębnikach był też sługa Boży Jan Tyranowski – prosty niepozorny, posiwiały i przygarbiony krawiec, o przebogatej duchowości, wiedzy religijnej i gorliwej pobożności. Mieszkał nieopodal kościoła, przy ul. Różanej pod numerem 11. W dwupiętrowej kamienicy z mansardą znajdowało się wypełnione książkami mieszkanie Jana. Mieściła się tu także pracownia krawiecka, którą wraz z ojcem prowadził. Choć był z wykształcenia księgowym, niedługo pracował w wyuczonym zawodzie. Jako krawiec mógł swobodniej dysponować własnym czasem dla prowadzenia głębokiego życia duchowego, religijnego oraz pracy apostołskiej.

Po aresztowaniu salezjanów, niejako w ich zastępstwie pan Tyranowski gromadził grupę młodzieńców z Żywego Różańca, do której należał też Karol Wojtyła. Poznali się w lutym 1940 r. na wielkopostnych rekolekcjach salezjańskich w kościele parafialnym. Od tego czasu zaznacza się stale rosnący wpływ twórcy kótek „Żywego Różańca” na zakonspirowanego studenta polonistyki i aktora, który w przyszłości zostanie papieżem. Jan zapoznał go, ale też i dopomógł „zaprzyjaźnić się”, ze swoimi mistrzami duchowymi – św. Janem od Krzyża i św. Teresą od Dzieciątka Jezus. „Byli dla niego nie tylko mistrzami – powie Karol Wojtyła – oni dosłownie pozwolili mu odkryć siebie samego, wytłumaczyli mu i uzasadnili własne życie”. Jan Tyranowski zwrócił ponadto Karolowi uwagę na niepozorną książkę: „Doskonałe nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny” Ludwika Marii Grignon de Montfort, z którą młodzieniec nie będzie się już rozstawał. Będzie ją nosił ze sobą także do pracy w fabryce Solvay, ukrywając pod roboczym drelichem.

Po latach Karol Wojtyła tak o tym wspomina: „W dębnickim kościele, w bocznej kaplicy, znajduje się Obraz Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych, przed którym wymodliłem sobie powołanie. W tejże świątyni poznałem również, 19 lat starszego ode mnie Jana Tyranowskiego, który zaprosił mnie na spotkania „Żywego Różańca”. Artystycznym przedstawieniem owego spotkania dwóch świętych na Dębnikach jest wiszący na lewej ścianie kościoła obraz namalowany przed kilku laty przez salezjańskich księży-artystów, bliźniaków Leszka i Roberta Kruczków.

Z parafii na krakowskich Dębnikach aresztowano 11 salezjanów, z kręgu „Żywego Różańca” wyszło 6 kapłanów diecezjalnych i 5 zakonnych, niejako w zastępstwie tamtych zabranych. Jednak posłannictwo sługi Bożego Jana Tyranowskiego nie miało się wyczerpać na tak bardzo owocnym apostołstwie ewangelicznym. Podobnie jak sam Chrystus uwierczył je kilkumiesięcznym bolesnym cierpieniem, znosząc je z przykładową cierpliwością. Zmarł 15 marca 1947 roku, całując z miłością rany Ukrzyżowanego. Doczesne jego szczątki złożono na cmentarzu Rakowickim w rodzinnym grobowcu, w którym spoczywały do momentu ekshumacji i urzędowej

rekognicji (26 marca 1998 r.) w związku z rozpoczętym 30 września 1997 r. procesem kanonizacyjnym.

Sługa Boży Jan Tyranowski nie był co prawda męczennikiem w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale śmiało można go dołączyć do ich grona, gdyż on jakby uczestniczył w ich dziele apostołskim i jak oni narażał się hitlerowcom, organizując tajne zgromadzenia, za które groziła kara śmierci. Naziści bowiem nie brali pod uwagę jakiego charakteru były te zebrania, dla nich ważne było wszystko, co sprzeciwiało się ideologii III Rzeszy. Religia dla nich również stanowiła zagrożenie, nie mniejsze, niż działania czysto polityczne.

Święty Jan Paweł II przy okazji swojej podróży apostołskiej do Lourdes 14 sierpnia 1983 r. powiedział: „Prześladowania z powodu wiary są niekiedy podobne do tych, o których martyrologium Kościoła pisało już w minionych wiekach. Przybierają one różne formy dyskryminacji wierzących i całej wspólnoty. Te formy dyskryminacji są niekiedy stosowane w momencie, gdy uznaje się prawo do wolności religijnej, do wolności sumienia, i to zarówno w ustawodawstwie różnych państw, jak i w dokumentach międzynarodowych. Czy powinniśmy to wyszczególnić? Owszem, gdyż podczas prześladowań już od pierwszych wieków zwykłymi wyrokami były śmierć, deportacja i wygnanie”.

6 maja 2026

Świadectwo wiary męczenników.

Święty Jan Paweł II 8 maja 1995 r. z okazji 50-tej rocznicy zakończenia II wojny światowej w Europie postawił pytanie: „Jak możemy nie pamiętać o takich chrześcijanach, którzy dając świadectwo przeciwko złu, modlili się za prześladowców i opatrywali rany wszystkich?”. Wśród chrześcijan wspomnianych przez św. Jana Pawła II są słudzy Boży ks. Jan Świerc i ośmiu towarzyszy. Pozostając wiernymi swojemu kapłańskiemu zobowiązaniu do ostatniej chwili życia i okazując szczególne przywiązanie do Zgromadzenia Salezjańskiego, nie zachwiali się w obliczu nazistowskiego zagrożenia.

W zimne, ciemne noce spędzone w obozie koncentracyjnym u boku innych więźniów, którzy często byli skazani na śmierć, ks. Jan Świerc i ośmiu towarzyszy, pomimo nałożonego na nich zakazu, konsekrowali Eucharystię, udzielali sakramentu pokuty i przygotowywali na śmierć tak wiele dusz pozbawionych tożsamości i godności przez nazistowską furję. Żar ich miłości, który był szczególnie intensywny w najbardziej dramatycznych godzinach, odbija się echem w relacjach świadków, którzy wśród wielu ofiar obozów koncentracyjnych rozpoznali w dziewięciu sługach Bożych wyjątkowe i niepowtarzalne świadectwo wiary.

Akceptując odkupieńczą wartość cierpienia fizycznego i duchowego w swojej osobistej historii, przemawiali do ludzi swoich czasów językiem Krzyża Chrystusa, tematem bliskim Magisterium Kościoła. W nich wypełnia się nauczanie Chrystusa: „To wam przykazuję: miłujcie się wzajemnie. Jeśli was świat nienawidzi, wiedzcie, że Mnie wcześniej znienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat miłowałaby to, co jest jego; ale ponieważ nie jesteście ze świata, lecz Ja was wybrałem ze świata, dlatego was świat nienawidzi” (por. J 15, 17-19). Język Krzyża Jezusa, zawsze aktualny i przenikliwy, stanowi cenne wyzwanie również dla ludzi naszego stulecia: w społeczeństwie, które oddaliło się od Boga i w rzeczywistości zmusza do przeżywania chrześcijaństwa wyłącznie na poziomie wewnętrznym, potrzeba dawania świadectwa Prawdzie Bożej jest bardzo aktualna.

Innym elementem decydującym o męczeństwie ks. Jana Świerca i jego ośmiu towarzyszy jest przebaczenie. Z przeanalizowanych zeznań sądowych i dokumentów wynika, że słudzy Boży, jako prawdziwi uczniowie Jezusa, nigdy nie wypowiedzieli żadnych słów nienawiści wobec swoich prześladowców. Aresztowani, bici, upokarzani w swojej ludzkiej i kapłańskiej godności, ofiarowali swoje cierpienie Bogu i pozostali wierni do końca, pewni, że ten, kto wszystko powierza woli Bożej, nie jest zawiedziony. Ich wewnętrzny spokój i opanowanie, okazywane nawet w godzinie śmierci, były tak niezwykle, że nawet ich oprawcy byli zdumieni, a w niektórych przypadkach nawet oskarżani o zdradę.

Są oni świetlanymi przykładami nadziei, gdyż to oni najwyższym aktem wiary, pewnej nadziei i miłości do Chrystusa naśladowali Jego zbawczą śmierć. Tertulian, odnosząc się do pierwszych chrześcijańskich męczenników, napisał: „Czeka was dobra walka, w której widzem i sędzią jest tylko Bóg; Duch Święty waszym trenerem; nagrodą wieczna korona”.

Ksiądz Jan Świerc i jego towarzysze jako kapłani byli zaangażowani w Polsce w różnego rodzaju działalność duszpasterską, pedagogiczną i dydaktyczną. Zupełnie nie angażowali się w napięcia polityczne, które targły Polską w czasie wojennej okupacji. Mimo to zostali aresztowani i zamęczeni z nienawiści do wiary (in *odium fidei*), za sam fakt bycia katolickimi kapłanami. Ksiądz Ignacy Antonowicz w chwili aresztowania był dyrektorem Salezjańskiego Studium Teologicznego w Krakowie; ks. Karol Golda wykładał teologię w Instytucie Salezjańskim w Oświęcimiu; ks. Włodzimierz Szembek był zastępcą proboszcza w Skawie; ks. Franciszek Harazim był nauczycielem w Krakowie; ks. Ludwik Mroczek prowadził pracę duszpasterską w Częstochowie; ks. Ignacy Dobiasz był spowiednikiem i asystentem parafialnym w Krakowie; ks. Jan Świerc był dyrektorem domu zakonnego i proboszczem w Krakowie; ks. Kazimierz Wojciechowski był dyrektorem oratorium i Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży w Krakowie; a ks. Franciszek Miśka był dyrektorem domu i proboszczem w Łądzie.

7 maja 2026

Sługa Boży ks. Jan Świerc – pierwszy i najstarszy

Był najstarszych pośród salezjanów-męczenników. Miał 64 lata i 38 lat kapłaństwa. Urodził się w Królewskiej Hucie (dzisiejszym Chorzowie) 29 kwietnia 1877 r. To, co go charakteryzowało już od najmłodszych lat, to jego niesamowita odwaga i zdolności. Jako kilkunastoletni chłopiec pozostawił swe rodzinne strony, aby udać się do Turynu i tam wstąpić do Zgromadzenia Salezjańskiego. Szybko opanował język włoski i ujawnił swe liczne talenty. Tamtejsi przełożeni pokładali w nim wielkie nadzieje. Jeszcze przed święceniami kapłańskimi, które przyjął w Turynie w 1903 r., pełnił funkcję sekretarza ks. Michała Ruy – pierwszego następcy św. Jana Bosko, który mianował go odpowiedzialnym m.in. za redagowanie Biuletynu Salezjańskiego w języku polskim.

Potem został skierowany do Polski, do zakładu salezjańskiego w Oświęcimiu, gdzie wykonywał różne zajęcia, z których wywiązywał się znakomicie. Pomagał w administracji zakładu, w załatwianiu ważniejszej korespondencji, w pracy duszpasterskiej. Od września 1911 r. do kwietnia 1918 r. był dyrektorem Instytutu Lubomirskich w Krakowie (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny przy ul. Rakowickiej). W latach 1918-1922 był dyrektorem i proboszczem w Kielcach. Wszędzie chętnie udzielał się też w okolicznych parafiach i pośredniczył w otwieraniu nowych placówek salezjańskich w Daszawie i w Krakowie, w których sam potem pełnił ważne funkcje i przyczynił się do ich pomyślnego rozkwitu. Również zakład w Oświęcimiu, za jego dyrektorstwa, stał się niemal drugim Valdocco Księdza Bosko. Po pierwszej wojnie światowej ks. Świerc znów wywarł wpływ na nowo powstałą placówkę salezjańską w Oświęcimiu na Zasolu. Pozostawił tam po sobie opinię szlachetnego i prawego kaznodziei.

W 1924 r. przez siedem miesięcy był zaangażowany jako misjonarz w Ameryce. Od listopada 1925 r. do października 1934 r. był dyrektorem i proboszczem w Przemyślu. Szkoła organistowska w Przemyślu na Zasaniu, za jego dyrektorstwa, przeżyła swój największy rozkwit. Dzięki swej wielkiej otwartości, rozwadze i życzliwości, pozyskał zaufanie u tamtejszego biskupa i wpływowych osób, przez co wydatnie przyczynił się do otwarcia nowych dzieł salezjańskich w Jarosławiu i we Lwowie. 15 sierpnia 1934 r. został mianowany dyrektorem domu zakonnego we Lwowie. We wszystkich innych miejscach, gdzie go przełożeni kierowali ks. Jana, wnosił on swego ducha pełnego inicjatywy i gorliwości.

Okres przed wybuchem II wojny światowej był dla ks. Jana czasem upadku na zdrowiu i cierpienia. Przeszedł on kilka poważnych operacji i musiał nieco zmienić swój intensywny tryb życia. Został proboszczem w parafii salezjańskiej w Krakowie na Dębnikach, skąd został aresztowany wraz z grupą pozostałych salezjanów i wywieziony

do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Tam zginął śmiercią męczeńską, którą ukoronował swoje krótkie, ale piękne i dynamiczne życie.

Na podstawie powyższej charakterystyki jego działalności można powiedzieć, że odznaczał się dużymi i różnorodnymi zdolnościami oraz niezwykłą pracowitością. Był świetnym redaktorem i administratorem, współbratem i przełożonym, profesorem, kaznodzieją, wychowawcą i duszpasterzem, organizatorem i budowniczym, człowiekiem ogromnej kultury i duchowej głębi. Podczas swego kleryckiego pobytu w kolebce Zgromadzenia Salezjańskiego dobrze przyswoił sobie salezjańskiego ducha, którego wiernie przeszczepiał na grunt polski wszędzie tam, gdzie przyszło mu pracować. Z opinii świadków wynika, że pod każdym względem był człowiekiem uczciwym, solidnym, pracowitym, religijnym, bez reszty oddanym Bogu, Kościołowi, ludziom, młodzieży i współbraciom.

8 maja 2026

Ksiądz Jan Świerc – aresztowanie i męczeńska śmierć

Było to 23 maja 1941 r., w wigilię święta NMP Wspomożycielki Wiernych. O godz. 20.00 przed domem przy ul. Konfederackiej 6 w Krakowie zatrzymał się samochód. Gestapo wyprowadziło dziesięciu księży i koadiutora pod zarzutem działalności antypaństwowej. Tak to wspomina jeden z uwięzionych – ks. Walenty Waloszek, który cudem ocalał od śmierci: „Wywieziono nas do więzienia Montelupich w Krakowie, gdzie przebywaliśmy ponad pięć tygodni, poddawani różnym torturom i przesłuchaniom, podczas których wielu z nas doświadczyło na własnej skórze okrucieństwa esesmana Sieberta i młodszego Procnera. Bito nas straszliwie, szczuto psami, aby zmusić do przyznania się do zarzucanych nam czynów.

26 czerwca wczesnym rankiem zarządzono zgrupowanie więźniów, wśród których było nas dwunastu salezjanów, kilku Żydów i grupa polskiej inteligencji z Krakowa, wziętych jako zakładników (ci ostatni, prawie wszyscy zostali rozstrzelani). Następnie skuto nas łańcuchami po dwóch i kazano wsiąść do samochodu. Stłoczeni w ciężarówkach, otoczeni przez strażników SS, którzy z ironicznym uśmiechem przez całą drogę uderzali nas swoimi karabinami po plecach. Około południa dotarliśmy przed bramę obozu, gdzie można widniał napis: »Arbeit macht frei«.

Tam, każdy więzień, którego nazwisko zostało wyczytane, musiał przejść przez podwójną linię oficerów SS, z których każdy witał nowo przybyłych kopniakiem. Jeśli któryś z więźniów szedł wolno ze względu na swój wiek lub nawet upadł, otrzymywał więcej kopniaków. Ustawili nas pod ścianą ceglanoego muru. Następnie kazali nam odwrócić się twarzami do ogrodzenia i czekaliśmy ponad dwie godziny. Zaprowadzeni do innego baraku musieliśmy rozebrać się do kąpieli. Przygotowano dla nas więzienne ubrania z jasnego materiału w paski, bez zwracania uwagi na rozmiar, drewniaki jako buty. Następnie oddzielono nas księży od świeckich i przydzielono do kompanii karnej. Powiedzieli nam, że musimy pracować szybko, zawsze w biegu, nie oglądając się za siebie i nie zatrzymując się. Musieliśmy kruszyć kamienie kilofem, ładować je razem ze żwirem na taczkę i przewozić wszystko do dołu głębokiego na siedem metrów i oddalonego o około 50 metrów. Praca była ponad nasze siły, zwłaszcza dla starszych, wyczerpanych chorobami i operacjami.

Schorowany ks. Jan, osiągnąwszy wiek 64 lat, nie mógł wykonywać żadnej ciężkiej pracy. Kapo Franz, znany jako zdegenerowany i sadystyczny przywódca, gdy się o tym dowiedział, postanowił jak najszybciej go »załatwić«. – »Nie chcesz pracować?« – powiedział do ks. Jana – »Poczekaj, zaraz ci pomogę«. I zaczął go bić, niezależnie od tego, gdzie padały ciosy. Po chwili ks. Jan wstał z ziemi, podniósł taczkę pełną kamieni i powoli ruszył w stronę dołu. Za nim, niczym zły duch, podążał zwyrodnialec, zmuszając go do pośpiechu. Nękanie i dręczenie trwało dobrą godzinę, ale ks. Jan nie

dał się wyprowadzić z równowagi. Wiedział, że zaraz umrze, dlatego co chwilę wypowiadał: »O Jezu, o Jezu, zmiłuj się nad nami!«. Jego modlitwa wywołała u Franza furję. »Poczekaj«, powiedział mu, »zaraz pokażę ci Jezusa, tu nie ma Boga, On ci nie pomoże. Nie wyrwie cię z moich rąk«. Z jego ust padło wiele bluźnierstw, przekleństw i szykan. Z całej siły rzucił ks. Jana na taczkę, bijąc go po brzuchu, plecach, głowie i twarzy. Przede wszystkim cios w twarz był tak straszny, że ks. Jan stracił oko, a cała jego twarz stała się podobna do zmaltretowanej twarzy Jezusa. Okrucieństwo kata nie przerwało ufnego dialogu ks. Jana z Panem, którego woli wszystko zostało powierzone. Z ust sługi Bożego, który nieustannie błagał swego Zbawiciela, wydobywała się jedynie prośba o miłosierdzie. Kapo Franz podniósł go i z całej siły rzucił nim o taczkę z dużymi kamieniami i w ten sposób złamał mu kręgosłup, a dużym kamieniem zmiądzzył mu głowę. Potem jego zwłoki wywieziono na taczce i wysłano do krematorium.

Ksiądz Jan Świerc spędził w Auschwitz zaledwie jeden dzień, ale to wystarczyło, by jego wierność Bogu stała się świadectwem aż po śmierć. Odszedł z tego świata bez wypowiedania słów nienawiści. Przyłgnąwszy do swego Pana, prosił o miłosierdzie i pod spojrzeniem swoich współbraci pokazał oprawcom, że nie jest sam, że nie jest pokonany.

9 maja 2026

Sługa Boże ks. Ignacy Antonowicz – wybitny i dobry człowiek

Jego powołanie salezjańskie zaczęło się kształtować w pierwszych latach ubiegłego wieku, kiedy to w 1901 roku – jako jedenastoletni chłopiec – został przyjęty do Salezjańskiego Gimnazjum w Oświęcimiu, w którym przebywał do 1905 r. Był jednym z pierwszych wychowanków i najprawdopodobniej owym szczęśliwcem, który podczas sławetnej loterii wyciągnął los z największą wygraną, ratując w ten sposób nowo powstający zakład salezjański od upadku. To w końcowym okresie jego życia okazało się zapowiedzią innej wygranej, którą odniósł 40 lat później, w tym samym Oświęcimiu, ponosząc śmierć męczeńską w tamtejszym obozie zagłady.

Zaraz po ukończeniu szkoły wstąpił do nowicjatu, a potem został wysłany do Turynu, aby kontynuować formację i odbyć studia filozoficzno-teologiczne. Po święceniach kapłańskich w 1916 r. udał się na studia do Rzymu na Uniwersytet Gregoriański. Wówczas też rozpoczął się szybki rozwój jego kariery w Zgromadzeniu. Obronił dwa doktoraty, z filozofii i teologii, po których najpierw został nauczycielem, a potem profesorem dogmatyki. W trzy lata później został kapelanem wojsk polskich w armii generała Hallera, co też odegrało znaczącą rolę w całokształcie jego życia. Wracając po roku do wolnej ojczyzny, zaczął organizować pierwsze polskie domy formacyjne i prowadził szeroką działalność na rzecz ugruntowania dzieła salezjańskiego w Polsce. W tym czasie był redaktorem „Pokłosa Salezjańskiego” i profesorem w studentatach filozoficznych i teologicznych. Był katechetą w zakładzie oświęcimskim i dyrektorem zakładu w Aleksandrowie. Ostatnim jego zajęciem przed aresztowaniem było dyrektorstwo w Salezjańskim Instytucie Teologicznym w Krakowie na Łosiówce od roku 1934.

Miał wybitne zdolności intelektualne i znakomitą pamięć, wnikliwy i syntetyczny umysł, oraz doskonały zamysł praktyczny. Był zrównoważony i opanowany. Nie działał pochopnie. W trudnych sprawach reagował dopiero po dłuższym namyśle, zawsze ze spokojem i z roztropnością. Jego silna wola, stanowczość i zdecydowanie sprawiały, że nie cofał się przed trudnościami. Nie było dla niego spraw nie do rozwiązania ani sytuacji bez wyjścia. Jego zewnętrzny spokój i pogodne oblicze były odzwierciedleniem jego wnętrza. Był to człowiek wielkiego ducha i wielkiej dobroci. Był powszechnie lubiany i szanowany, gdyż nie ominął nikogo, nie zainteresowawszy się nim. Do każdego podchodził z wielkim szacunkiem i życzliwością. Był przy tym bardzo pokorny. Nigdy nie wynosił się z powodu swoich zdolności ani też nie podkreślał swoich tytułów naukowych; umiał przyznawać się do swoich błędów i zaniedbań, zachowując przy tym skromność i prostotę. Był dobrym pedagogiem i dla celów wychowawczych umiał wykorzystywać wszystkie swoje zdolności, umiejętności i sprawności – m.in. sportowe.

Chętnie udzielał się duszpastersko. Można powiedzieć, że przeszedł prawie wszystkie rodzaje zajęć, jakie wówczas można było w Zgromadzeniu Salezjańskim spełniać. Z nich wszystkich, najbardziej angażował się w formację. Nie tylko organizował pierwsze studentaty na terenie polskim, ale sam wykładał wiele przedmiotów, m.in. dogmatykę, Pismo Święte, filozofię, ascetykę, katechetykę, psychologię. Przez jakiś czas pracował nawet – i to z dużym uznaniem – w kurii, w sądzie biskupim, choć nie był specjalistą w tej dziedzinie.

Dzięki tym sprawności i szerokim horyzontom myślenia miał dobre rozeznanie rzeczywistości i umiał wszystko dobrze przewidzieć, przygotować i zorganizować. Przed swoim aresztowaniem zatroszczył się o zabezpieczenie różnych spraw, gdyż przewidywał swoją śmierć, co wynika z relacji naocznych świadków.

Jego przedwczesna śmierć – człowieka w sile wieku i pełni sił twórczych – była niepowetowaną stratą, z punktu widzenia dobra Zgromadzenia Salezjańskiego w Polsce, ale z punktu widzenia planów Bożych, stała się tryumfem i przypieczętowaniem tego wszystkiego, czym żył i czego dokonał. Z Bożej perspektywy widać, że Zgromadzenie Salezjańskie więcej zyskało z jego męczeńskiej śmierci, niż z wielu jeszcze jego dokonań, gdyby mógł dalej żyć i pracować.

10 maja 2026

Ksiądz Ignacy Antonowicz – męczennik najdłużej umierający

Wieczorem 23 maja 1941 r. gestapo dokonało nalotu na Instytut Teologiczny przy ul. Tynieckiej 39, gdzie pełnił funkcję dyrektora, przełożonego i rektora seminarium. Ksiądz Antonowicz wracał właśnie od sióstr wizytek, gdzie regularnie co tydzień spowiadał siostry. Nagle zobaczył kryty samochód i kilku funkcjonariuszy gestapo. Weszli do drzwi domu. Tu, niemal nie spuszczać oka ze swojej ofiary, gestapowiec Siebert, który był kierownikiem Wydziału do Spraw Wyznań, zauważył wchodzącego księdza i krzyknął: „Czy ty jesteś Antonowicz!?”, „Tak, jestem!” – odpowiedział ks. Ignacy. „Chodź!” – rozkazał Siebert i poszli do jego pokoju. Nie pozostali tam długo. Po chwili wyszli na korytarz. Ksiądz dyrektor miał płaszcz zarzucony na ramiona, kapelusz w rękę i spokojnie rozmawiał z Siebertem. Znał doskonale język niemiecki. Skierowali się do wyjścia. Wejście do samochodów spotkało się z okrzykami i wybuchami śmiechu ze strony zgromadzonych tam esesmanów. Ksiądz Antonowicz szybko wskoczył do samochodu.

Słońce już zaszło. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na Salezjański Instytut Teologiczny, pogrążony w bólu i cierpieniu. W kaplicy, przed ołtarzem Maryi Wspomożycielki, klerycy modlili się i błagali. „Niepokalana Matko ratuj nas, chroń naszych przełożonych swoim matczynym płaszczem, pozwól im wrócić bez szwanku. Okaż się naszą Matką. Obiecujemy być Twoimi wiernymi dziećmi!”.

Zawieźli go na ulicę Konfederacką i dołączyli do pozostałych aresztowanych w tym dniu salezjanów. W ciągu jednego dnia aresztowano 12 salezjanów i wywieziono do więzienia Montelupich. Wkrótce potem miało się odbyć coś, co można nazwać procesem: nie pozwolono im na żadną formę przesłuchania ani obrony.

Jeden z naocznych świadków – ks. Zbigniew Bączkowski salezjanin – wspomina pierwszą noc w celi w więzieniu Montelupich: „Cela. Trochę słomy na twardej podłodze, kilka podartych szmat, brudna miednica, okno z kratami i to wszystko. W celi panował półmrok, bo światło wpadało tylko przez żelazne pancerne szczeliny... Noc minęła bezsennie. Godziny mijały powoli... Nasi więźniowie, podzieleni na różne cele, czuli się źle... Około dziesiątej rano odbyło się pierwsze przesłuchanie. I tak było przez pięć tygodni”.

26 czerwca 1941 r. przetransportowano ich do obozu w Auschwitz i przydzielono do bloku karnego. „Personel tam był jak stado szakali. Czuliśmy się jak wśród opętanych ludzi. Słyszeliśmy tylko przekleństwa, wyzwiska, obelgi przy akompaniamencie bicia, kopania, uderzania. Trudno było zasnąć”. Na drugi dzień w ciągu kilku godzin bestialsko zamordowano czterech z nich: ks. Jana Świerca, ks. Ignacego Dobiasza, ks. Franciszka Harazima i ks. Kazimierza Wojciechowskiego.

„Przyszła kolej na ks. Antonowicza. Doznał wielu obrażeń na ciele. Jego twarz była opuchnięta od bicia. Nie można go było rozpoznać. Jego męka trwała długo i nie zakończyła się śmiercią, bo około godziny 16.00 przyjechał komendant obozu, rozmawiał z esesmanami, po czym odjechał. Okazało się, że przyszedł rozkaz anulowania kary śmierci. Od tego momentu przestali nas bić, nikt nas już nie namawiał do pośpiechu. Zaczęły krążyć pogłoski, że zostaniemy zwolnieni z karnej kompanii. Dzień pracy dobiegł końca. Wróciliśmy do obozu, a tu urządzono nam straszny apel. Ustawiono nas w rzędzie. Księdzu Ignacemu kazano wyjść przed szereg i wykonać tzw. »hupfen« (skoki na kuckach). Zmaltretowany ksiądz nie mógł wykonać żadnego skoku. Wtedy rzucono się na niego z psami, był kopany, bity a na koniec nieprzytomnego rzucono o ścianę”.

Sługa Boży zmarł trzy tygodnie później, 21 lipca 1941 r., w wyniku maltretowania, jakiego doznał 27 czerwca 1941 roku. Agonia sługi Bożego Ignacego Antonowicza trwała długie 3 tygodnie.

11 maja 2026

Sługa Boży ks. Ignacy Dobiasz – nauczyciel i spowiednik

Urodził się 14 stycznia 1880 roku w Ciechowicach na Śląsku w rodzinie, która zaszczyliła mu miłość do pracy i do Boga. Miał sześcioro rodzeństwa. Dzięki wsparciu proboszcza i rodziców wyjechał do Włoch, gdzie kształcił się w szkołach salezjańskich. W 1898 roku wstąpił do nowicjatu w Ivrei. Sutannę otrzymał z rąk biskupa Jana Cagliero, bliskiego współpracownika Księdza Bosko i jednego z pierwszych misjonarzy do Patagonii (dzisiejszej Argentyny). We Włoszech studiował filozofię i teologię. Święcenia kapłańskie przyjął 28 czerwca 1908 roku. Ukończył także Akademię Rolnictwa w Turynie.

Jako nowy kapłan powrócił do Polski i pracował najpierw w zakładzie salezjańskim w Oświęcimiu jako nauczyciel i spowiednik. Potem przydzielono go do Niższego Seminarium Duchownego w Daszawie, a następnie do parafii św. Józefa w Przemyślu. W latach 1918-1920 pracował w Krakowie na Dębnikach, a potem w Oświęcimiu i Mysłowicach, w 1921 r. jako proboszcz pomocniczy w kościele Najświętszego Serca Jezusowego w Warszawie. Tam przez 10 lat pełnił również funkcję wikariusza inspektorialnego. Powrócił do Krakowa, gdzie ponownie pracował w kościele parafialnym w Krakowie jako pomocnik proboszcza i spowiednik. Tu też odprawił pogrzeb ojca papieża Jana Pawła II, Karola Wojtyły, który wraz z synem mieszkał na terenie tutejszej parafii i zmarł 18 lutego 1941 r. Ksiądz Ignacy był także spowiednikiem i wykładowcą teologii moralnej w Wyższym Seminarium Duchownym Salezjanów w Krakowie. Uważany był za jednego z najlepszych spowiedników i znawcę problemów moralnych. Świadczy o tym kilkanaście własnoręcznie zapisanych zeszytów z kazaniem. I chociaż nie był on obdarzony przez Boga darem wybitnej wymowy, to jednak chętnie i często wygłaszał swoje kazania. Przebija w nich troska o duchowe dobro i ostateczne zbawienie człowieka. Często nawoływał w nich do dobrego przygotowania się do sakramentu pokuty i częstego korzystania z niego. W konfesjonale przebywał długie godziny, pozbawiając się nieraz regularnego posiłku i spoczynku. Był wzorem wielkiego poświęcenia i zaparcia się siebie. Jego cierpliwość, dobroć, wyrozumiałość i wielka znajomość ludzkiej duszy, uczyniły go jednym z najwybitniejszych spowiedników.

Był człowiekiem bardzo skromnym, prostym, uczynnym i przystępnym. Zawsze cierpliwy i opanowany. Miał pogodny i dobroduszny wyraz twarzy. Emanowała z niego wielka dobroć, przez co pociągał do siebie młodzież i skłaniał do posłuchu nawet najbardziej krnąbrne typy. Z wielką dokładnością i poświęceniem obsługiwał okoliczne szkoły i punkty katechetyczne. Choć czasem przez cały tydzień wiele się natrudził, to jednak na jego pomoc w niedziele i święta mógł niezawodnie liczyć każdy duszpasterz. Był jednym z ulubieńców swych rodaków ze Śląska. Przybywali do niego spontanicznie, bez wcześniejszych zapowiedzi czy najmniejszej żenady. Świetnie

potrafił zaradzać wszelkim najzawilszym nieporozumieniem domowym i wyprowadzać na prostą drogę Bożych przykazań. Swoje mieszkanie utrzymywał nadzwyczaj schludnie i skromnie, jak przystało na dobrego salezjanina. Tak bezpretensjonalny był też cały jego żywot.

Postać sługi Bożego ks. Ignacego Dobiasza można podsumować w dwóch słowach: nauczanie i spowiadanie – to była jego misja i jego droga do świętości. Niestety została ona brutalnie przerwana przez bezpodstawne aresztowanie go wraz z innymi współbraćmi salezjanami, pamiętnego 23 dnia maja 1941 roku. Aresztowanie, a potem okrutne męczeństwo przyjął jako dar, nie prowokując go w żaden sposób. Z całych sił starał się wykonać nieludzkie rozkazy swoich oprawców, nie nawiązując z nimi żadnej relacji, która mogłaby ocalić mu życie.

Jego konfesjonał stał się katedrą, z której formowano dusze na wzór Chrystusa. W konfesjonale spędzał długie godziny, często powstrzymując się od jedzenia i skracając sen – inne problemy dla niego nie istniały.

12 maja 2026

Ksiądz Ignacy Dobiasz – męczennik konfesjonatu

Został aresztowany przez żołnierzy SS wraz z dziesięcioma innymi współbraćmi księżmi i wikariuszem wieczorem 23 maja 1941 r. w domu salezjańskim w Krakowie. W liście pogrzebowym z listopada 1951 r. czytamy, że w momencie tych wydarzeń „był już starszym księdzem, wyczerpanym ciągłą pracą i wiekiem”. Został przewieziony do więzienia Montelupich, gdzie przebywał wraz z innymi aresztowanymi salezjanami około 5 tygodni, poddawany ciągłym przesłuchaniom i torturom, pod fałszywym zarzutem działalności politycznej przeciwko reżimowi nazistowskiemu.

26 czerwca 1941 r. został przeniesiony do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Warunki życia wewnątrz obozu były bezsprzecznie nieludzkie: więźniowie kompanii karnej musieli pracować w żwirowni, znosząc obciążenie znacznie przekraczające ich siły; księża i Żydzi, w szczególności, zostali oddzieleni od innych więźniów i powierzeni szczególnemu i najbardziej bezwzględniemu nadzorowi *kapo*. Nowo przybyli widzieli więźniów, którzy byli już w obozie od jakiegoś czasu. Ich widok był przerażający. Wyglądali jak kościotrupy, ubrani w łachmany, nierzadko chorzy i prawie bez życia.

Po tak zwanym „chrście krwi” polegającym na biciu i znieważaniu rankiem 27 czerwca, po zabiciu ks. Jana Świerca, kapo skierował swoją morderczą furię na ks. Dobiasza. Widząc jego słabość, bez przerwy okładał go pałką. Ksiądz Ignacy wkładał całą swoją energię, aby nie upaść pod ciężarem pełnej taczki, ale jego siły w końcu się wyczerpały. Kiedy pchał ostatnią taczkę, zatrzymał się w połowie drogi. „Co? Nie dasz już rady? Pomogę ci” – krzyknął kapo i kazał mu położyć się na taczce, bijąc go swoją laską. Ksiądz Ignacy ostatkiem sił pchnął taczkę kilka kroków do przodu, wciąż pod deszczem uderzeń. W końcu dotarł w pobliże dołu. Kapo kazał mu usiąść na taczce, a sam wsypał ładunek taczki wraz z nim do głębokiego dołu. Kiedy ksiądz jęczał z bólu złamanych kości, kapo zaczął go maltretować, aż ofiara wyzionęła ducha. Następnie ciało ks. Ignacego zostało umieszczone w drewnianej skrzyni wraz z ciałem ks. Świerca i przewiezione do krematorium.

Jego męczeńska śmierć była podobna do śmierci innych salezjanów w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Nie oszczędzano im żadnych cierpień fizycznych, a przede wszystkim psychicznych. Kiedy żołnierz SS z batem w ręku pytał każdego: „Kim pan jest?”, a ten odpowiadał: „Jestem księdzem katolickim”, żołnierz kontynuował: „Jest pan księdzem! Jest pan księdzem, hipokrytą, złodziejem” i nadal obrażał, uderzając z całej siły każdego z nich w głowę i twarz. Dlaczego człowiek oddany wyłącznie nauczaniu i spowiedzi został zabity w ten sposób? Świadkowie stwierdzają jedno: ponieważ był polskim księdzem, tak samo, jak wszyscy inni, został poddany upodleniu i okrutnym torturom.

Traktowanie salezjanów w więzieniu na Montelupich i w obozie koncentracyjnym Auschwitz nie pozostawia wątpliwości co do motywów takiego okrucieństwa, które wynikało z nienawiści, jaką żywili wobec nich naziści. Jako katolicy i polscy księża zostali oddzieleni od innych więźniów i połączeni z grupą Żydów, którzy mieli zostać przydzieleni do bloku karnego nr 11, gdzie trafiali więźniowie oskarżeni o najcięższe przestępstwa.

W przypadku księży katolickich do straszliwej przemocy fizycznej kapo dołączyli bezprecedensową słowną zaciekłość, zdolną odebrać ofiarom wszelką godność i nadzieję na przyszłość, a pozostawić jedynie rozpacz. Intencją prześladowców nie była jedynie fizyczna przemoc i eliminacja wroga, ale publiczne upokorzenie tego, co reprezentowali księża jako członkowie Kościoła katolickiego.

Trafne są w tym miejscu słowa ks. kardynała Karola Wojtyły wypowiedziane w homilii w 1972 r. w kościele św. Stanisława w Krakowie: „Wszystko, co z ludzkiego punktu widzenia mogło być klęską i było przeżywane jako straszliwe cierpienie, otwierało drogę do zwycięstwa”. To, co w mniemaniu prześladowców było przestępstwem, dla prześladowanych stało się błogosławieństwem, bo „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy Królestwo Boże” (Mt 5, 10).

13 maja 2026

Sługa Boży ks. Karol Golda – najmłodszy z aresztowanych

Urodził się w Tychach 23 grudnia 1914 r. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Tychach uczęszczał do gimnazjum w Pszczynie, a następnie do gimnazjum salezjańskiego w Oświęcimiu. W tych samych latach dojrzywało w nim powołanie zakonne. 15 stycznia 1931 r. wstąpił do nowicjatu w Czerwińsku, a po uzyskaniu matury z przedmiotów ścisłych złożył swe pierwsze śluby zakonne. Świecenia kapłańskie przyjął w Rzymie w 1938 r. W lipcu 1939 r. powrócił do Polski.

Po wybuchu II wojny światowej przebywał kilka tygodni w Łądzie, a potem udał się do Oświęcimia do studentatu, gdzie przebywało dwudziestu salezjańskich kleryków. Został tam mianowany radcą szkolnym i otrzymał zadanie nauczania teologii. A ponieważ miał wybitne zdolności językowe, uczył ich jeszcze języka niemieckiego, włoskiego, angielskiego i francuskiego. Pomagał ponadto jako spowiednik w kościele w Oświęcimiu. Kiedy obóz w Auschwitz już funkcjonował, wraz z kilkoma współbraćmi został zatrudniony do przygotowywania paczek z artykułami pierwszej potrzeby, które wysyłano do więźniów. Był bardzo ceniony przez przełożonych, którzy podziwiali w nim dobry charakter, dobre wykształcenie i gotowość do każdej pracy.

Była to osobowość bardzo wrażliwa i wszechstronnie uzdolniona. Pragnienie dążenia do doskonałości wyraził już jako dziecko prostym stwierdzeniem „*Ja muszę zdążyć w górę*”. Odznaczał się skromnością, opanowaniem, sumiennością w obowiązkach, pogodą ducha, uprzejmością i serdecznością. Już wówczas obrał sobie kierownika duchowego, z którym regularnie i długo utrzymywał kontakt, co świadczy o tym, że poważnie traktował swoją wolę dążenia do doskonałości.

Ówczesni przełożeni chwalili jego niezwykle zdolności, jak również obowiązkowość i pracowitość. Pomimo swej wrodzonej nieśmiałości i naturalnej powagi, był człowiekiem wielkiej otwartości i wielkiego serca. Jego życie zbudowane było z modlitwy, nauki i codziennej troski o innych. Doskonale radził sobie na asystencji, wykazując się umiejętnością utrzymywania porządku i stawiania chłopcom wysokich wymagań. Umiał przy tym budzić wśród nich ducha radości i twórczej inicjatywy. Potrafił znaleźć się w każdej sytuacji i być wszędzie tam, gdzie wymagana była jego obecność. Poprzez swój spokój i opanowanie, poczucie sprawiedliwości, zaangażowanie w sport na rekreacji i pomoc świadczoną najstarszym uczniom zyskał wśród chłopców duże uznanie, a u przełożonych opinię dobrego pedagoga: „Wyróżnia się bardzo dobrym duchem, jest obdarzony wybitną inteligencją, studiuje chętnie matematykę, filozofię i jest gotów do wszelkiej pracy”.

Swoje zdolności szczególnie wykorzystał i rozwinął na studiach w Rzymie na Uniwersytecie Gregoriańskim. Z wszystkich przedmiotów teologicznych najchętniej uczył się Pisma św. i dogmatyki. Był otwarty na różnych współbraci i potrafił spokojnie

rozładowywać napięcia wynikające z różnicy poglądów, które tak łatwo mogły rozognić i powaśnić w dyskusjach współbraci z innych narodowości. Był zawsze opanowany i taktowny, aby nikogo nie urazić.

W osobistych notatkach: „*Ku pamięci*”, zawarł wszystkie swoje najważniejsze przekonania i postanowienia, którymi się kierował. Były one wyrazem jego niezłomnej woli dążenia do doskonałości. Przekonania te świadczą o jego wielkim urobieniu duchowym, o głębi i jasności sformułowań. Przebija w nich praktykowanie ascezy i umartwienia, ale i uмиłowanie modlitwy i innych praktyk pobożnych, a także troska o miłość braterską i o zbawienie dusz.

Poglądy, jakie wygłaszał w swych kazaniach odzwierciedlają epokę, w której żył oraz czasy pełne niepokoju i niepewności. Również zbiór żartów, jakie po nim zostały, jest wyrazem jego salezjańskiego stylu duszpasterskiego.

14 maja 2026

Ks. Karol Golda – męczennik tajemnicy spowiedzi

31 grudnia 1941 r. został aresztowany przez funkcjonariuszy gestapo, którzy zabili go 14 maja 1942 r., po zaledwie trzech i pół roku posługi kapłańskiej. Poinformowano o tym rodzinę, a jego siostra Anna, obawiając się najgorszego, udała się do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, aby uzyskać informacje. Tam poinformowano ją, że ks. Karol został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa. Niektórzy współbracia pamiętali, że zaledwie trzy dni przed aresztowaniem widzieli go, jak zwykle w niedzielę, rozmawiającego z dwoma żołnierzami SS zatrudnionymi w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Ponieważ niektórzy niemieccy żołnierze przystępowali do sakramentu pokuty, wzbudziło to podejrzenia dowódców SS, którzy nakazali aresztowanie księdza. Dekret bowiem zabraniał polskim księżom udzielania sakramentów niemieckim wiernym, a żołnierzom niemieckim zabroniono publicznego przystępowania do sakramentów świętych. Wśród penitentów, którzy zwracali się do ks. Goldy, był niemiecki żołnierz wyznania katolickiego, który czuł powołanie do kapłaństwa.

Szef obozowego wydziału politycznego, Maksymilian Grabner, trzykrotnie dzwonił do ks. Karola, ponieważ chciał wiedzieć, co żołnierze mówili podczas spowiedzi.

Kategoryczna odmowa ks. Karola, zmusiła go do poddania się. Ksiądz Karol nic nie powiedział, mimo że był torturowany podczas przesłuchań. Cztery tygodnie przeżyte w odosobnieniu, w warunkach poniżających godność ludzką i kapłańską, były dla ks. Karola ostatnimi i najgłębszymi ćwiczeniami duchowymi w jego życiu.

Ksiądz Karol został przewieziony do więzienia w Katowicach, gdzie był poddawany przesłuchaniom i torturom. 2 lutego 1942 r. został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Z listu pogrzebowego dowiadujemy się, że „nie oszczędzono mu męki w niesławnym bunkrze dla więźniów politycznych” – tzw. bloku śmierci, który był miejscem odizolowanym od reszty obozu i pełnił funkcję więzienia obozowego i miejsca egzekucji. W pierwszym tygodniu maja 1942 r. ks. Karol został przewieziony do Wrocławia, aby stanąć przed sądem. Żołnierz, który poszedł do spowiedzi, został skazany na 1 rok i 2 miesiące ciężkiego więzienia za pójście do kościoła, co uznano za hańbę dla munduru. Ksiądz Karol został rozstrzelany 14 maja 1942 r., w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, w obozie koncentracyjnym Auschwitz, a jego ciało zostało spalone, a następnie skremowane.

Ksiądz Karol pozostał kapłanem do końca: nadal dawał świadectwo Chrystusowi, nawet w obozie koncentracyjnym. Więzienie i prześladowania nie miały na niego wpływu. W tajnej wiadomości, którą sługa Boży wysłał do ks. Wilhelma Noconia, aby przekazał ją współbraciom w dniach poprzedzających egzekucję, „dziękował za wszystko, nie prosił o nic, tylko o to, aby współbracia mu wybaczyli, gdyby komuś sprawił przykrość”.

Ksiądz Karol nawet w obozie koncentracyjnym kontynuował to, co zawsze robił: dawał świadectwo o Chrystusie całym swoim życiem. Jeden ze współwięźniów zauważył go raz przelotnie w kuźni. Odniósł wrażenie, że w grupie robotników panowała zgoda i że ks. Karol cieszył się wśród nich pozytywnym wpływem. Uwięzienie i tortury nie miały na niego wpływu, bo on niezłomnie uwierzył w obietnicę Mistrza: „Kto miłuje życie swoje, traci je, a kto nienawidzi życia swego na tym świecie, zachowa je na życie wieczne”. A inny współwięzień wspomina, jak obóz koncentracyjny stał się dla sługi Bożego nieoczekiwanym miejscem apostołstwa. Ksiądz Karol miał pogodne usposobienie, był optymistą i umiał przekazywać innym pogodę ducha i umiejętność panowania nad sobą. Wolny czas spędzał ze współwięźniami. Sługa Boży pocieszał ich, wspierał, spowiadał, żegnał na ostatnią drogę. Nikt nie jest w stanie przedstawić ogromu jego kapłańskiej pracy, wykonywanej w ukryciu. Wszystko to czynił z radością i gorliwością, ponieważ wiedział, że Pan posłał Go tam właśnie w tym celu.

15 maja 2026

Sługa Boży ks. Franciszek Harazim – profesor erudyta

Podobnie jak ks. Antonowicz – należał do jednych z pierwszych wychowanków salezjańskiego Zakładu w Oświęcimiu. Urodził się 22 sierpnia 1885 r. w Osinach, w powiecie rybnickim na Śląsku. W 1901 r. wstąpił do gimnazjum salezjańskiego w Oświęcimiu ukończył nowicjat w Daszawie. Już wtedy dały się u niego zauważyć pewne pozytywne cechy osobowości oraz wybitne zdolności – szczególnie w dziedzinie nauk humanistycznych i w językach obcych. Jeszcze bardziej się one ujawniły na asystencji w Turynie, gdy został redaktorem Wiadomości Salezjańskich, a potem na teologii, gdy zdobył doktorat. Świecenia kapłańskie przyjął w 1915 r.

Po powrocie do Polski najpierw pełnił funkcję nauczyciela języka polskiego, niemieckiego i łaciny w Oświęcimiu, a potem, jako radca szkolny, kierownika tamtejszego gimnazjum. W 1919 roku pełnił funkcję dyrektora nowo otwartego studentatu filozoficznego w Krakowie na Łosiówce.

Jako wychowawca i profesor ks. Harazim cieszył się wielkim autorytetem wśród alumnów i uznaniem wśród współbraci. Miał opinię humanisty o wielkiej wiedzy i szerokich horyzontach myślowych. Był wziętym wykładowcą, umiał zainteresować słuchaczy wieloma ciekawymi i bieżącymi wiadomościami, nie tylko z literatury i kultury, ale i z innych dziedzin i dyscyplin naukowych. Niemal w każdej kwestii potrafił się wypowiedzieć z wielkim znawstwem. Był dobrym teologiem, muzykologiem, pedagogiem i teatrologiem. To on ułożył scenariusz do Misterium Męki Pańskiej, do którego muzykę napisał brat wielkiego prymasa Polski Augusta Hlonda, ks. Antoni Chlondowski. Utwór ten, po dziś dzień jest wystawiany w ośrodkach salezjańskich. Był bardzo pracowity i pomysłowy. Miał wiele twórczej inwencji, szczególnie w pisaniu podręczników, układaniu wierszy, czy tekstów na różne uroczystości i akademie. Może trudniej przychodziło mu podejmowanie różnych posług duszpasterskich, ze względu na to, że nie miał w tym praktyki, ale zawsze chętnie udzielał się w posłudze Słowa, przy głoszeniu kazań czy rekolekcji. Był wziętym konferencjonistą, nie tylko wśród salezjanów, ale i w innych wspólnotach zakonnych.

Ksiądz Franciszek miał również doskonały talent i wyczucie pedagogiczne. Zawsze był spokojny i opanowany, o dobrym i przenikliwym wzroku. Już samo jego spojrzenie lub ukazanie się na korytarzu, wystarczyło, aby zapanowała cisza i porządek. Był wymagający, ale i dobroduszny, wstawiał się skutecznie za słabszymi, którym groziło wydalenie za niepowodzenia w nauce. Z jego oblicza przebijał spokój, delikatny uśmiech i pogoda ducha. Cieszył się szacunkiem i uznaniem u władz oświatowych, od których otrzymał nawet medal 10-lecia Odzyskania Niepodległości. Kochał swoją ojczyznę Polskę i choć pochodził ze Śląska, nie przyjął tzw. Reichslisty, która zapewniłaby mu obywatelstwo niemieckie.

Odnaczał się też wielką pokorą. Świadczy o tym to, że nie lubił piastować urzędów. Dwa razy prosił o zmianę z dyrektorstwa – w Krakowie i w Aleksandrowie. Nie przyjął też godności biskupiej, którą mu oferowano w nowo powstałej diecezji katowickiej. Jako przełożony nigdy nie dał odczuć nad innymi swej władzy, nie krył się też ze swoimi wadami, niejednokrotnie umiał się przyznawać do winy, nie miał pretensji i nie nosił urazy, do kogoś, kto zwracał mu uwagę. Chętnie ustępował pierwszeństwa innym, cieszył się z wywyższenia i sukcesów innych, nikomu niczego nie zazdrościł. Często innych podnosił na duchu.

O jego duchowości można się również czegoś dowiedzieć na podstawie zachowanych notatek, głównie z rekolekcyjnych rozważań, które prawdopodobnie wygłosił w przeddzień wybuchu II wojny światowej. W jego przemówieniach wiele jest akcentów związanych z cierpieniem, wyrzeczeniem i męką, przenikniętych jednak nadzieją i duchem salezjańskim, ze szczególnym naciskiem na kult Eucharystii i nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki Wiernych. Całość swego pięknego, choć krótkiego życia (55 lat), przypieczętował godnym podziwu męczeństwem.

16 maja 2026

Ksiądz Franciszek Harazim – zginął wraz ze swoim uczniem

23 maja 1941 r. gestapowcy podjechali pod seminarium przy ul. Tynieckiej 39. Wpadli do budynku krzycząc: „Gdzie jest Harazim?”. W tym czasie przechadzał się on po ogrodzie w otoczeniu kleryków, którzy bardzo lubili swojego profesora. Kiedy usłyszał wykrzykiwane swoje imię, zobaczył zbliżającego się gestapowca, opuścił swoich towarzyszy i podszedł do niego z pełnym spokojem i pewnością.

Nalot gestapo na salezjański instytut teologiczny z pewnością nie był przypadkowy ani niespodziewany. Od pewnego czasu Niemcy naciskali, aby oddać im budynek seminarium. Ksiądz Harazim, który był wicerektorem i bardzo dobrze znał język niemiecki, okazał się doskonałym dyplomatą. Ratując dom, nie uratował jednak siebie.

Z powyższych względów spokój i opanowanie, jakimi wykazał się ks. Harazim, można interpretować jedynie jako rozsądną konsekwencję jego świadomej decyzji. Sługa Boży doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa aresztowania, uwięzienia i deportacji do obozu koncentracyjnego. Chociaż miał możliwość wyjazdu z Krakowa, nigdy nie wyraził na to zgody.

Po pięciodniowym pobycie na Montelupich przewieziono go wraz z innymi aresztowanymi współbraćmi do obozu w Auschwitz. Wchodząc na dziedziniec karnej kompanii, nie zdawali sobie jeszcze sprawy, że każdy z nich już był skazany na śmierć. Ustawionych po dwóch zaprowadzono ich do miejsca, gdzie znajdowali się już Żydzi i gdzie znęcano się nad nimi okrutnie, bito, kopano, polewano wodą i co chwila któregoś z nich zabijano. Następnego dnia żaden z nich nie pozostał przy życiu. Wiedzieli, że ich też czeka podobny los.

Wewnątrz zakładu karnego musieli ciężko pracować w żwirowni. Za pomocą kilofa rozbijali duże kamienie, ładowali je na taczki i przewozili do dołu o głębokości ośmiu metrów. Musieli to robić bez przerwy i w pośpiechu. Gestapowcy byli dla nich bezlitośni. Mścili się szczególnie na kapłanach. Ręce i nogi ks. Franciszka wkrótce pokryły się siniakami i ranami, a zmęczenie uniemożliwiało mu stanie na nogach, a cóż dopiero bieganie z taczkami pełnymi żwiru. Ksiądz Franciszek cierpiał na chorobę serca i każdy wysiłek fizyczny był dla niego bardzo bolesny. Podczas pracy często się zatrzymywał, co zwracało uwagę kapo. W końcu spragniony krwi kapo szukał wśród księży kogoś, kto znał niemiecki. Zgłosił się ks. Józef Wybraniec. „Idź i wyświadczyć tego błazna” – powiedział kapo, wskazując na księdza Franciszka – „ale spowiedź musi być przy mnie i na głos”. Ksiądz Wybraniec nie uczynił tego, ograniczając się jedynie do udzielenia mu rozgrzeszenia w niebezpieczeństwie śmierci.

Kapo wepchnął ks. Franciszka z połamanymi rękami i nogami do głębokiego dołu, z którego nie mógł się wydostać. Rozwścieczony wbiegł do dołu, położył go na plecach na ziemi i z wyrafinowanym okrucieństwem dusił go metalowym prętem,

wypowiadając przy tym przekleństwa przeciw religii. Sługa Boży nie umierał sam. Obok niego znalazł się jeden z jego dawnych wychowanków, ks. Kazimierz Wojciechowski, którego kapo też siłą wrzucił do dołu. Nad oboma znęcał się przez około dwie godziny. Mówił: „Jeśli wierzycie w Boga, to dlaczego On wam nie pomaga? Chcę zobaczyć tego waszego Boga tutaj! Chcę zobaczyć cud! To ja jestem waszym Bogiem, ponieważ mogę was zabić lub pozwolić żyć!” – krzyczał.

W końcu obu przycisnął pręt do ich gardeł, a następnie, obciążając oba końce, udusił obu męczenników. Ciała ich natychmiast przewieziono do krematorium. Tak więc rankiem 27 czerwca 1941 r. z rąk straszliwych bandytów zginęli kolejno sługa Boży ks. Jan Świerc i ks. Ignacy Dobiasz, a po południu przyszła kolej na ks. Franciszka Harazima i ks. Kazimierza Wojciechowskiego. Źródła dokumentalne i świadectwa są więc zgodne co do tego, że ks. Franciszek wypełniał swoje kapłaństwo z wiernością i odwagą kogoś, kto wie, jak przemienić ludzki strach przed zbliżającą się groźbą śmierci w oczekiwanie i przygotowanie do męczeństwa, przyjętego jako dar od Boga.

17 maja 2026

Sługa Boży Kazimierz Wojciechowski – młody i pełen zapału

Urodził się w Jaśle 16 sierpnia 1904 r. w 90 rocznicę urodzin św. Jana Bosko. W wieku pięciu lat stracił ojca. Sytuacja materialna rodziny stała się bardzo trudna. Ich dom składał się tylko z pokoju i kuchni. Matka, Maria Wojciechowska, pracowała u sąsiadów, aby utrzymać rodzinę. Kazimierz został oddany do instytutu księcia Lubomirskiego w Krakowie, a potem uczył się w salezjańskim gimnazjum w Oświęcimiu, gdzie odnalazł swoje powołanie.

Z zainteresowaniem obserwował tam orkiestrę. Pewnego razu podszedł do nauczyciela muzyki i zapytał, czy on też mógłby być częścią orkiestry. „Jesteś za mały”, odpowiedział nauczyciel, „musisz jeszcze dorosnąć. Te trąbki są większe od ciebie”. „Pozwól mi dmuchnąć” – poprosił Kazimierz. Dmuchał ku uciechu obecnych kolegów. Od tego momentu muzyka i śpiew stały się dla niego integralną częścią życia.

W 1920 r. wstąpił do nowicjatu salezjańskiego w Kleczy Dolnej i tam złożył swą pierwszą profesję zakonną. W 1924 r. uzyskał maturę, po której rozpoczął studia filozoficzne w Krakowie. Praktykę pedagogiczną (asystencję) odbył w Łądzie nad Wartą, gdzie uczył matematyki, śpiewu i muzyki. Był duszą rekreacji – potrafił zachęcać, organizować chór i orkiestrę, budować wspólnotę. Tam odkrył swój talent muzyczny, dlatego w latach 1924-1934 zlecono mu nauczanie muzyki i matematyki. W 1934 r. został wysłany do Krakowa, aby uczyć teologii w domu studenckim. Był miłośnikiem sportu i był bardzo lubiany przez młodzież. Miał bardzo pogodny charakter. 19 maja 1935 r. przyjął święcenia kapłańskie w Krakowie z rąk biskupa Stanisława Rosponda. W latach 1935-1936 przebywał w Daszawie i Krakowie, gdzie nauczał religii i został mianowany dyrektorem oratorium oraz Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży.

Okazał się doskonałym nauczycielem i wychowawcą. Był wysportowany, uzdolniony muzycznie, matematycznie i aktorsko. Dzięki temu umiał przyciągnąć młodzież i wytworzyć sprzyjającą atmosferę wychowawczą. W swej salezjańskiej działalności na Dębnikach w całej rozciągłości okazał swój wychowawczy talent, kiedy zdobył miano jednej z najbardziej aktywnych osób w Krakowie. Władze szkolne podkreślały, że potrafił zainteresować młodzież i budził w niej radość. Był pogodny, pełen energii, kochał sport i muzykę. Łączył powagę nauczania z radością bycia razem.

Ksiądz Kazimierz Wojciechowski miał jasność co do niebezpieczeństw spowodowanych okupacją niemiecką w Polsce. Potwierdza to list pośmiertny, w którym czytamy: „w czasie działań wojennych we wrześniu sługa Boży pozostał w Krakowie, aby nieść pomoc uchodźcom”. Co więcej, nigdy nie angażował się w działalność polityczną, bardziej pochłonięty pracą duszpasterską, nauczaniem i pasją

muzyczną. Był katechetą, całkowicie oddanym pracy w duchu św. Jana Bosko. W pracy z młodzieżą cieszył się opinią gorliwego duszpasterza.

Zdawał sobie sprawę z trudnej sytuacji, zarówno dla siebie, jak i dla młodych ludzi w tym okresie. Wiedział, że pracując jako katecheta, naraża się na aresztowanie. Jeden ze świadków wspomina: „Mieszkałem w sąsiedztwie kościoła i domu salezjańskiego i wiedziałem, że po wieczornym nabożeństwie majowym będzie łapanka, czyli nalot na parafię. Ci, którzy znajdą się w środku, nie będą mogli się wydostać. Wiedząc o tym, gdy zobaczyłem, że ks. Kazimierz wraca ze szkoły do domu z torbą w ręku, podszedłem do niego i błagałem, by nie szedł na plebanię, bo jest łapanka i grozi mu aresztowanie. Odpowiedział: »Jeśli przyszli aresztować proboszcza ks. Świerca, który jest chory, to raczej mnie zabiorą, pójdę«. Poszedł na plebanię i więcej go nie widziałem”.

18 maja 2026

Ks. Kazimierz Wojciechowski – umęczony wraz ze swym profesorem

Sługa Boży został aresztowany w Krakowie 23 maja 1941 r. wraz z innymi współbraćmi salezjanami. 26 czerwca 1941 r. został deportowany do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie po zaledwie jednym dniu został zamordowany. Miał 37 lat, 19 lat profesji zakonnej i 6 lat kapłaństwa.

Głodni, bici i znieważani więźniowie przybywali do obozu koncentracyjnego, w którym unosił się odór śmierci, również z powodu zapachów dochodzących z krematorium. Na powitanie usłyszeli tylko sarkastyczne stwierdzenie, że mogą stąd wyjść tylko przez komin krematorium. Od razu skierowano ich do grupy karnej, z którą rozpoczęli pracę w kamieniołomie żwiru.

Ksiądz Kazimierz, przez swą imponującą posturę i dobrą kondycję fizyczną, od razu skupił na sobie uwagę kata. W obozie pozostał tylko jedną noc, gdyż 27 czerwca otrzymał taczkę, kilof, łopatę i wraz z innymi więźniami został skierowany do pracy w żwirowni. Taczkę trzeba było napełnić żwirem i przewieźć do oddalonego o około 40 metrów kamieniołomu, opróżnić i powtórzyć tę samą pracę w pośpiechu pod czujnym okiem dowódcy, „krwawego Franza”, który przed południem zabił już dwóch salezjanów, a po obiedzie zabił ks. Kazimierza.

Bił go niemiłosiernie, kopał, wybił mu zęby trzonkiem łopaty i zranił biczem w głowę, powodując krwawienie. Na jego dłoniach pojawiły się bolesne i krwawiące rany. Ksiądz Kazimierz, człowiek krzepki i wysportowany, ale w tym momencie bardzo osłabiony, pracował z wielkim wysiłkiem przez jakiś czas, aż wyczerpany zwrócił się do Franza, błagając go o zmianę pracy na lżejszą: „Poczekaj, zaraz ją dostaniesz, tylko teraz weź tę taczkę do dołu i biegnij natychmiast”. I zaczął go bić wielokrotnie ręką, krzycząc na niego: „Ach, ty leniu, ty oszuście, nie chcesz pracować!” – i wrzucił go z taczką do dołu. Poczł grymas satysfakcji, kiedy patrzył na bezradne wysiłki biednej ofiary, by wydostać się z dołu. Nagle krzyknął: „Stań tam obok tego drugiego łotra”. Sługa Boży spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył tam ks. Harazima leżącego na wznak na dnie dołu, wciąż dręczonego przez prześladowcę.

Straszny kapo pobił ks. Kazimierza z niespotykaną brutalnością, zepchnął go do głębokiego dołu i po oskarżeniu go o niechęć do pracy, wygłosił monolog, w którym, ogarnięty jakąś dziwną manią wielkości, potwierdził swoją wyższość nawet nad Bogiem. Było około godziny 14.00 w upalny dzień, gorączka i pragnienie dręczyły biednych więźniów. Agonia trwała długo, około dwóch godzin. Wreszcie kapo i strażnik obozowy wzięli żelazny pręt i przyłożyli go do gardeł prawie umierających księży, którzy leżeli obok siebie, i zaczęli ich obrażać: „Tak, potraficie ogłupiać ludzi, ale nie macie ochoty pracować. Po wyśmianiu ich, on i jego kolega wskoczyli na pręt, który przygniatał dwóch kapłanów, i ciężarem swoich ciał dokończyli krwawą robotę.

Powód i bezpośrednia przyczyna tej śmierci jest jasna: był katolikiem, polskim księdzem, który kochał młodzież i uczył ją, był wolnym człowiekiem, który się nie ugnie, i dlatego musiał umrzeć. Według ideologii hitlerowskiej taki człowiek nie mógł żyć. Sługa Boży ks. Kazimierz Wojciechowski ukoronował swoje życie śmiercią i to daje nam nadzieję, że wolność, gloryfikowana przez jego współczesnych, może być zachowana nawet w tak tragicznych warunkach, gdy już gaśnie ostatnie światełko nadziei, bo „Chrystus uwolnił nas spod władzy ciemności śmierci i przeniósł do królestwa swego umiłowanego Syna” (Kol 1, 13).

19 maja 2026

Sługa Boży ks. Ludwik Mroczek – prawdziwy salezjanin

Urodził się 11 sierpnia 1905 r. w Kętach, w rodzinie, która zaszczerpiła w nim wiarę i pracowitość. Sługa Boży urodził się w dużej rodzinie, miał dziewięcioro rodzeństwa: Klementynę (późniejszą siostrę zakonną Marię Elektę), Stefana, Jadwigę, Rozalię, Antoniego, Stanisława, Marię, Józefa i Bronisławę. Ludwik był najmłodszy. Jego ojciec był szewcem i zmarł w wieku 57 lat, gdy Ludwik miał dziesięć lat. Ciężar utrzymania i wychowania wszystkich dzieci spadł na barki matki. W tej sytuacji zdecydowała się ona oddać swojego dwunastoletniego syna pod opiekę salezjanów do Oświęcimia. Cztery lata później został przyjęty do nowicjatu w Kleczy Dolnej.

Przed wstąpieniem do nowicjatu matka, przeczuwając jakby to, co miało się wydarzyć za kilkanaście lat, spytała syna: „Słuchaj, Ludwik, zastanów się dobrze nad tym, co robisz. Dziś nie zdajesz sobie sprawy z pewnych rzeczy. Z czasem świat może wyciągnąć cię poza bramę klasztoru”. „Nie, mam”, odpowiedział szybko, „przemyślałem to, co robię. Chcę pozostać w Zgromadzeniu Księdza Bosko do końca życia. Nie przyniosę ci hańby, mam, porzucając szeregi synów Księdza Bosko. Proszę tylko o modlitwę i twoje błogosławieństwo na nowy etap mojego życia”.

19 czerwca 1925 r. zdał maturę w Krakowie. Śluby wieczyste złożył 14 lipca 1928 r. w Oświęcimiu. W latach 1928-1933 odbył studia teologiczne w seminarium diecezjalnym w Przemyślu, gdzie 25 czerwca 1933 r. przyjął święcenia kapłańskie z rąk biskupa Franciszka Bardy.

Jako neoprezbiter pracował w sierocińcu w Przemyślu (1933-1935), gdzie zorganizował 50-osobowy zespół, z którym w czasie wakacji jeździł po Polsce. Gdy wybuchła II wojna światowa, a w jej trakcie sierociniec w Przemyślu został poważnie uszkodzony, ks. Mroczek zajął się pracą duszpasterską i katechetyczną w Częstochowie, gdzie salezjanie zaczęli organizować nową parafię Najświętszego Serca Jezusowego. Po roku wyjechał do Krakowa, na ulicę Tyniecką 39, jako katecheta w szkołach powszechnych. Był kierownikiem oratorium, katechetą i bibliotekarzem. Jego życie było prostą codziennością posługi: Msza Święta, katecheza, spotkania z młodymi. W tej prostocie kryła się jego siła. Młodzież kochała swojego opiekuna, który był jej oddany całym sercem. Umiał prowadzić młodych do konfesjonatu i do Stołu Pańskiego.

Był postury raczej szczupłej, miał około 1 m 70 cm wzrostu. Był bardzo punktualny i to nie tylko, jeśli chodzi o praktyki pobożne w kaplicy, ale także w refektarzu, w studium. Tego też wymagał od młodzieży. Zawsze pobożnie odprawiał Mszę Świętą. Od czasu do czasu głosił kazania – proste, ale mądre i dobrze przygotowane. Na rekreacji z klerykami bywał raczej rzadko, być może dlatego, że był ich spowiednikiem. Nigdy nie był nerwowy, smutny, nie narzekał na żadne niedociągnięcia; wyróżniał go spokój i

życzliwość wobec bliźnich. Miał pogodne usposobienie i obdarzał dzieci i młodzież duszpasterską dobrocią jak prawdziwy salezjanin. Pracując już jako salezjanin, włożył wszystkie swoje siły w pracę wychowawczą, która przyniosła mu radość i dobre efekty.

Najbardziej cenił sobie gorliwość Księdza Bosko w zdobywaniu dusz dla Chrystusa. Świadczą o tym choćby jego kazania, w których przebija wielka troska o zbawienie dusz. Wykazuje tu dużą inwencję i pomysłowość, wykorzystując przy tym doskonale charyzmat salezjański. Liczne zbiory żywych i barwnych przykładów, które po nim pozostały, oraz sposób przygotowania katechez dla dzieci i młodzieży dobitnie na to wskazują. Zbierał różne myśli, cytaty i przykłady, które starannie spisywał swoim pięknym charakterem pisma. Zawsze pracował z wielkim dynamizmem, a dzięki swojej spontaniczności był bardzo lubiany i szanowany zarówno przez młodzież, jak i dorosłych.

20 maja 2026

Ksiądz Ludwik Mroczek – tytan cierpienia

Droga jego męki rozpoczęła się w momencie aresztowania przez gestapo 22 maja 1941 r., w święto Wniebowstąpienia Pańskiego, tuż po mszy świętej odprawionej w kaplicy seminarium na Łosiówce. Wraz z innymi współbraćmi został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Tam został brutalnie skopany, wskutek czego w jego organizmie zaczęła powoli gromadzić się ropa, która zalewała całe jego ciało. W obozie koncentracyjnym nigdy nie okazywał urazy ani nienawiści, ale od razu wyróżnił się swoim duchem modlitwy.

27 czerwca 1941 r. ks. Ludwik był świadkiem zamordowania w żwirowni czterech współbraci (ks. Świerc, ks. Antonowicz, ks. Harazim i ks. Wojciechowski). Był to dla niego dzień ciężkiej próby; pozostał przy życiu, ale rany po pobiciu, które otrzymał podczas apelu, nie mogły się zagoić i gromadziły ropę w jego organizmie. Z powodu całego heroicznego cierpienia, które zniósł, nadano mu tytuł „tytana cierpienia”. Oto kilka fragmentów tego, co pozostawił po sobie jeden z naocznych świadków:

„Wiezorami odwiedzałem ks. Mroczka w szpitalu polowym. Rozmowy z nim dodawały otuchy. Niewiele subtelności, ale jego prosta wiara wyrażona w równie prostych słowach umiała zdobyć i uspokoić słuchacza. We wszystkim umiał wskazać boski cel. Jego naiwność i dobroć w tym morzu złości, tchórzostwa, nienawiści i bólu, które dotykały tego czcigodnego kapłana, były promieniem światła i pociechy”.

Pewnego wieczoru ks. Mroczek powiedział, że jego rana nie chce się goić, ponadto puchnie i boli go prawe udo. Doktor obiecał zbadać problem. Następnego dnia zauważył ropę w prawym udzie. Przeprowadził operację w znieczuleniu ogólnym, ale ból nie ustępował. Potem chirurg zauważył również ropę w prawym ramieniu. Ponownie znieczulenie i operacja, a po kilku dniach ropa utworzyła się w lewym ramieniu. To był dziwny przypadek. Lekarze nie potrafili podać przyczyny choroby, co więcej, choroba postępowała. Ropa w lewej pachwinie, potem także w prawej. Znieczulenie, jedno po drugim, operacja za operacją. W obozie koncentracyjnym opatrunki można było otrzymać raz lub maksymalnie dwa razy w tygodniu. Sytuacja chorych była tak rozpaczliwa, że można ją uznać za nieludzką. Ksiądz Mroczek został poddany kilku operacjom chirurgicznym w fatalnych warunkach higieniczno-sanitarnych. Głębokie rany zostały opatrzone wodą utlenioną i papierem, którym był zabandażowany od kostek do szyi.

Lekarz, który go operował, powiedział: „Patrzę na niego z podziwem. Nigdy nie widziałem takiego człowieka w mojej długiej karierze w klinice. Jego bóle są nadludzkie” i dodał: „Gdybyśmy nie mieli kapłanów o takich zdolnościach, byłibyśmy sto razy gorsi i bardziej nikczemni niż jesteśmy”.

5 stycznia 1942 r. ks. Mroczek przeszedł ostatnią operację, która doprowadziła do jego śmierci. Na stole operacyjnym jego piękna, surowa i prawie uśmiechnięta twarz nie zdradzała bólu. Od czasu do czasu powtarzał: „Jak dobrze, jak dobrze, panowie”.

Tego dnia, po zgaszeniu świateł, cienie wielu więźniów zbliżyły się do ławki księdza Mroczka. Jęki słychać było ze wszystkich części pomieszczenia. Wielu zmarło tej nocy. Rano, gdy promienie zimowego światła próbowały przedostać się przez oszronione szyby okna tego straszego pokoju, oczy ks. Mroczka nie otworzyły się ponownie: jego twarz była pogodna i pełna blasku, usta nieco otwarte, jakby chciały wyrazić pełne zdanie się na wolę Bożą. Sługa Boży ks. Ludwik Mroczek odszedł do Pana, gdy miał 36 lat, 19 lat profesji zakonnej i 8 lat kapłaństwa.

21 maja 2026

Sługa Boży ks. Włodzimierz Szembek – hrabia ze znanego rodu

Syn Zygmunta i Klementyny z rodu Dzieduszyckich urodził się 22 kwietnia 1883 r. w Porębie Żegoty koło Krakowa. Miał pochodzenie szlacheckie. Przez swoją matkę spokrewniony był z rodem Sapiehów i Czartoryskich, z którego wyszedł między innymi błogosławiony August Czartoryski. Miał starszego brata Jana, który w 1939 r. był wiceministrem spraw zagranicznych i dwie siostry Annę i Marię. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczęszczał do gimnazjum w Krakowie, po czym rozpoczął studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego, wieńcząc je uzyskaniem w 1907 r. dyplomu inżyniera rolnika. Od 1907 r. poświęcił się zarządzaniu rozległym majątkiem swojej matki, który liczył trzy tysiące hektarów lasów i pól. Robił to przez dwadzieścia lat. W tym czasie biegle władał obcymi językami. Był wysoko ceniony przez swoich kolegów, a swoim łagodnym i uprzejmym sposobem bycia zjednał sobie sympatię wielu osób. W najróżniejszych sytuacjach potrafił zachować spokój i równowagę oraz podbić serca młodych ludzi. Żył jako dobry chrześcijanin i był gorliwym członkiem wspólnoty parafialnej; znając łacinę, odmawiał brewiarz kapłański jako świecki, ale przede wszystkim był bardzo wrażliwy na niedolę, nieszczęścia i różne problemy ludzi, przychodził z pomocą każdemu potrzebującemu. Wybudował kościół i plebanię oraz załatwił niezbędne formalności związane z założeniem parafii, aby dać wiernym możliwość wypełniania obowiązków wynikających z wiary. Sam, choć był hrabią, żył skromnie. Utrzymywał kontakty z duchowieństwem, pomagał klasztorom i organizacjom charytatywnym.

Do Zgromadzenia Salezjańskiego wstąpił w wieku dojrzałym, w 42-gim roku życia. Pod koniec 1928 r. rozpoczął nowicjat w Czerwińsku. W latach 1930-1934 studiował teologię w Oświęcimiu i Krakowie, a 3 czerwca 1934 roku przyjął święcenia kapłańskie w Krakowie z rąk abp. Adama Sapiehy. Po święceniach kapłańskich został mianowany sekretarzem inspektora krakowskiego (1934-1936), następnie uczył agronomii w Kopcu koło Częstochowy (1936-1938), później był ekonomem w Wyższym Seminarium Duchownym Zgromadzenia Salezjańskiego w Krakowie przy ul. Tynieckiej 39 (1938-1940). W czasie okupacji niemieckiej pracował w parafii salezjańskiej w Skawie koło Rabki (1940-1942).

Był wszechstronnie utalentowany, z bogatą osobowością. Interesował się kulturą i muzyką, grał na fortepianie i był dobrym tancerzem. Czytał klasyków literatury greckiej i rzymskiej. Szczególny pociąg miał do nauk przyrodniczych, do rolnictwa i do matematyki. Miał także zdolności techniczne i dydaktyczne. Pasjonował się astronomią i łącznością radiową. Był niesamowicie pracowity, a przy tym miał niezwykle dociekliwy umysł.

Odnaczał się szczególną dobrocią i miłosierdziem, które okazywał wszystkim potrzebującym biedakom, a zwłaszcza pogorzelncom. Był przy tym człowiekiem pogodnego usposobienia, o głębokiej wrażliwości, pobożności i ofiarności. Był wielkim patriotą, zdolnym do poświęcenia się dla ojczyzny, chętnie podejmującym inicjatywy i obowiązki na rzecz dobra wspólnego.

Nigdy nie wspominał o swym hrabiowskim pochodzeniu czy wykształceniu ani nie wynosił się z tego powodu nad innych. Cechowała go skromność, prostota, opanowanie i spokój ducha. Zawsze był czymś zajęty, zawsze o czymś myślał, dlatego był raczej mało mówny i niezbyt komunikatywny, ale mimo tego zawsze otaczano go powszechnym szacunkiem, a nawet uważano za świętego.

O świętości sługi Bożego ks. Włodzimierza Szembeka w dużym stopniu decyduje motyw wyboru powołania salezjańskiego i kapłańskiego, w tak mocno dojrzałym wieku i jego szlacheckie pochodzenie. Musiał przejść niezwykłą przemianę wewnętrzną. Miał subtelne i delikatne sumienie, które okazywał w sposobie zachowywania każdego ze ślubów zakonnych: czystości w stosunku do kobiet, ubóstwa w stosunku do dóbr materialnych i posłuszeństwa w stosunku do przełożonych. To wszystko świadczy o jego wielkim wyrobieniu i opanowaniu wewnętrznym.

22 maja 2026

Ksiądz Włodzimierz Szembek – męczeństwo za Rudolfa Hessa

Wszystkie dobre cechy ks. Włodzimierza Szembeka nabierają pełnego wyrazu w blaskach chwały męczeństwa. 9 lipca 1942 r. został aresztowany przez gestapo i uwięziony w Nowym Targu. Aresztowanie zostało sprowokowane nagłym zaginięciem aspiranta salezjańskiego podczas rewizji domu salezjańskiego w Skawie. Ksiądz Włodzimierz Szembek bez wahania zaproponował, że zastąpi miejscowego przełożonego, ks. Walentego Kozaka, ale gestapo aresztowało ich obu i zabrało do siedziby gestapo w Zakopanem. W drodze do więzienia miał do niego powiedzieć: „Wstyd, żeśmy na to tak długo musieli czekać”. Wszystko wydarzyło się rok po aresztowaniu księży na krakowskich Dębnikach. Wiedzieli, że dziesięciu z nich już nie żyje. Ksiądz Szembek miał świadomość takiego samego końca, bo więzienie w Zakopanem uchodziło za jedno z najkrwawszych.

Kiedy został aresztowany, był opanowany i spokojny. Widać było, że miał pełną świadomość tego, co się działo, i że było dokładnie tym, czego od dawna się spodziewał i na co czekał. Naoczni świadkowie podkreślają, że miał zdecydowany cel i pragnienie męczeństwa, bo bardzo często o nim mówił. Był w pełni świadomy niebezpieczeństwa, na jakie się narażał. Jego odwaga nie została w najmniejszym stopniu zachwiana licznymi torturami, jakim poddano go w więzieniu. Głównym zarzutem, który obciążał sługę Bożego, było oszukiwanie ludzi poprzez głoszenie kazań.

W zakopiańskim więzieniu cieszył się, że mógł, jak Chrystus przy słupie, nosić łańcuchy, cierpieć szyderstwa, biczowanie, połamane żebra. Po takich mękach wracał do swojej celi rozpromieniony, szepcząc modlitwy dziękczynne, ponieważ Pan dał mu możliwość doświadczenia, choć trochę, tych bólów, które On cierpiał, gdy podnosili Go na krzyż. Więzienie w Zakopanem było szczególnie męczące dla ks. Włodzimierza, ponieważ oprócz tortur, które znosił podczas przesłuchań, przez wiele dni nie pozwalano mu nawet położyć się na podłodze. Przeznaczona dla niego betonowa cela była pełna wody i tak mała, że mógł tylko stać. Można pomyśleć, że to właśnie tam przeszedł wszystkie stacje swojej *Via Crucis* (Drogi Krzyżowej).

Z Zakopanego został na krótko przewieziony do Tarnowa, a stamtąd 19 sierpnia 1942 r. trafił do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Został przewieziony do tego miejsca męki tylko po to, by umrzeć ze wzrokiem utkwionym w mury kościoła i Instytutu Salezjańskiego, gdzie poświęcił się służbie Maryi Wspomożycielce i gdzie stawiał pierwsze kroki życia zakonnego.

W obozie koncentracyjnym pełnił szczególną posługę diakonatu, modląc się i ofiarowując swoje cierpienia za zbawienie dusz. A po najcięższych mękach w obozie

wracał do celi więziennej rozpromieniony, chwając Pana, że mu pozwolił choć trochę zakosztować tych cierpień, jakich doznał Chrystus na krzyżu.

Współwięźniowie powtarzali, że mimo cierpień i mąk, nigdy na jego twarzy nie widzieli strachu, smutku czy rozpacz. Wręcz przeciwnie, był zawsze uśmiechnięty i zadowolony. Nigdy się na nic i nikogo nie skarżył. Przez to wśród współwięźniów zaskarbił sobie uznanie i zaufanie. Wszyscy się przed nim chętnie otwierali i spowiadali. Zawsze polecał im wyrzucić z siebie wszelką nienawiść, zapomnieć i przebaczyć wszystkie krzywdy i zbrodnie.

Nieludzka praca z walcem parowym, który ugniatał plac apelowy i ciała ofiar poległych z rąk esesmanów po przesłuchaniach w więzieniach w Zakopanem i Tarnowie, doprowadziła go do skrajnego wyczerpania, a w końcu do śmierci. zmarł 7 września 1942 r. w wieku 59 lat, mając za sobą 13 lat życia zakonnego i 8 lat kapłaństwa. Powszechnie mówiło się, że ks. Szembek ofiarował swoje życie za nawrócenie kata Rudolfa Hessa, który się wyspowiadał przed śmiercią.

23 maja 2026

Sługa Boży Franciszek Miśka – ładzki zarządca

Urodził się 5 grudnia 1898 r. w Świerczyńcu koło Bierunia na Śląsku. Ukończył gimnazjum w salezjańskim instytucie w Oświęcimiu, a w 1916 r. wstąpił do nowicjatu Zgromadzenia. Studia teologiczne ukończył w Turynie i tam przyjął święcenia kapłańskie w 1927 r. Po powrocie do Polski w 1929 r. został mianowany doradcą i katechetą w sierocińcu w Przemyślu. Potem udał się do Wilna, gdzie pełnił funkcję nauczyciela koordynującego w Salezjańskiej Szkole dla Rzemieślników, a także był prefektem szkół podstawowych. Po czterech latach posługi kapłańskiej w 1931 r. został mianowany dyrektorem Instytutu Salezjańskiego w Jaciążku. Uzyskał zgodę starosty powiatu Maków Mazowiecki na wprowadzenie w Jaciążku klas rzemieślniczych dla kowali – stolarzy. Od 1936 r. zamieszkał w Łądzie, gdzie pełnił funkcję proboszcza. W tym samym roku objął funkcję dyrektora wspólnoty w Łądzie, gdzie do wybuchu wojny kierował tamtejszym Niższym Seminarium Duchownym „Synów Maryi”. Seminarium to miało zapewnić powołania potrzebne do dynamicznego rozwoju dzieła salezjańskiego. Wraz z całym personelem salezjańskim starał się zapewnić przebywającym tam młodym ludziom wykształcenie, wyżywienie i zakwaterowanie, a także godną rozrywkę.

Ksiądz Franciszek pochodził z niezamożnej rodziny, dlatego szczególnie pomagał biednym rodzinom i swoim ubogim uczniom, których uczył jako katecheta. Był skromny i oszczędny. Lubił porządek. Cieszył się autorytetem i szacunkiem za swoją dobroć i wzorową posługę parafialną, swoim zachowaniem i nauczaniem umacniał pobożność parafian, regularnie odwiedzał chorych w ich domach i organizował pomoc materialną dla ubogich. Mówiono, że ks. Franciszek gotów był oddać potrzebującym nawet swoją ostatnią koszulę. Ożywiał modlitwą kółka różańcowe, pobożność młodzieży w Katolickich Kołach Młodzieży, uczestniczył w spotkaniach i lekcjach dla dzieci z oratorium; był powszechnie szanowany i uważany za ojca. Wokół niego zawsze było wiele dzieci. Rozdawał im dobre słowo i cukierki, które zawsze nosił w kieszeni sutanny.

Ksiądz Franciszek miał przydomek „budowniczy”, bo przyczynił się do odbudowy zabytkowego kościoła i klasztoru w Łądzie. Za jego dyrektorstwa w seminarium w Łądzie panowała prawdziwie rodzinna atmosfera, wzajemny szacunek profesorów i wychowanków. „Będąc z nim w bezpośrednim kontakcie – jak wspomina jeden z jego wychowanków – odczuwałem jego serdeczność, wysoką kulturę duchową, poczucie sprawiedliwości, dobroć i miłość do wszystkich.

Był człowiekiem pełnym życia, o czym świadczy jego praca jako duszpasterza. Organizował przedstawienia scen z Narodzenia Pańskiego, Misteriów Męki Pańskiej i innych. Wygłaszał zawsze dobrze przygotowane wykłady i kazania. Emanowała z niego

wiara i pokora. Był bardzo pracowity. Był dyrektorem najwyższej rangi, patriotą, wzorowym Polakiem, w myśleniu i działaniu, a w moim przekonaniu już za życia był świętym”.

Wybuch II wojny światowej zaskoczył ks. Franciszka Miśkę w Łądzie. W czasie kampanii wrześniowej pełnił funkcję kapelana jednostki Wojska Polskiego. Po powrocie do Łądu został aresztowany 6 stycznia 1940 roku. Wraz z innymi współbraćmi został tam internowany. W klasztorze salezjanów okupant niemiecki postanowił utworzyć obóz przejściowy dla zakonników z niektórych diecezji i zakonów. Obóz dla duchowieństwa w Łądzie zaczął funkcjonować w pierwszych dniach stycznia 1940 roku. Od 7 stycznia gestapo rozpoczęło deportację do Łądu księży i kleryków z diecezji wrocławskiej, gnieźnieńskiej, warszawskiej, poznańskiej, płockiej i częstochowskiej, a także salezjanów, orionistów, zmartwychwstańców i misjonarzy Świętej Rodziny. Największą grupę więźniów deportowano 16 stycznia z Wrocławka, na czele z biskupem sufraganiem, błogosławionym już Michałem Kozalem.

24 maja 2026

Ksiądz Franciszek Miśka – męczennik Dachau

6 stycznia 1941 r. instytut salezjański w Łądzie został przekształcony przez gestapo w więzienie dla księży. Według zeznań ks. biskupa Kazimierza Majdańskiego wynika, że ks. Miśka, pomimo zakazu, dalej regularnie pełnił swoją posługę duszpasterską. Salezjanie przez cały czas zapewniali wsparcie materialne dla księży uwięzionych w Łądzie. W tych dniach przywieziono tam 152 księży, którzy zamieszkali wraz z tamtejszymi współbraćmi i uczniami. W budynku zamieszkali również żołnierze niemieccy i przygotowali swoje kuchnie polowe. Pozostali tam przez 10-12 dni, podczas których splądrowali laboratoria nauk przyrodniczych, fizyczne i materiały dydaktyczne, bibliotekę, łóżka, stoły, szafy i orkiestrę. Żołnierze zdemolowali instytut, niszcząc wszystko, co miało charakter religijny. Emanowała z nich nienawiść do wszystkiego, co kościelne i polskie. Zadanie zadbania o porządek i innych księży powierzono ks. Franciszkowi, który dobrze znał język niemiecki. Jednak z nieznanых powodów został on kilkakrotnie przeniesiony do Inowrocławia, gdzie był brutalnie torturowany.

Sługa Boży miał świadomość niebezpieczeństw związanych z wojną, zarówno materialnych, jak i duchowych. Uświadamiał to swoim uczniom, zachęcając ich jednak do zaufania woli Bożej. Chociaż miał możliwość opuszczenia Łądu i ratowania własnego życia, postanowił pozostać w domu, u boku więźniów, za których życie czuł się odpowiedzialny. Ponadto Niemcy zaproponowali mu możliwość wyjazdu w zamian za współpracę z gestapo. Nie skorzystał jednak z tej propozycji. Z ojcowską troską i miłością opiekował się również więźniami przybyłymi z obozu w Łądzie, którzy w większości pochodzili z diecezji włocławskiej i archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej. Od 5 sierpnia 1940 r. więźniowie byli przenoszani grupami, niektórzy do Buchenwaldu, inni do Inowrocławia. W obu obozach wsparcie i solidarność grup więźniów były ogromne.

Ksiądz Franciszek był urodzonym organizatorem i popierał działania innych więźniów w zakresie organizacji życia wewnętrznego i duchowego więźniów. Z jego głębokiej wiary wynikała jego heroiczna miłość, żarliwa pobożność i autentyczny duch męczeństwa. Znęcanie się ze strony nazistów i deportacje do obozu w Inowrocławiu nie mogły nic zrobić przeciwko żelaznej woli ks. Miśki, aby zrobić wszystko dla wszystkich więźniów powierzonych jego opiece. Nie przeszkodził w ucieczce z obozu dwóm klerykom i nie wahał się pomóc również jednemu ze współbraci, któremu udało się przez długi czas unikać kontroli gestapo. Sługa Boży znosił trudy z cierpliwością, wspierany i umacniany modlitwą.

Ksiądz Miśka został ostatecznie aresztowany 30 października 1941 r. i przewieziony do Konstąntynowa koło Łodzi. Stamtąd wraz z innymi księżmi trafił do Dachau. Pomimo

nacisków ze strony nazistów, sługa Boży, wiernie i odważnie pełniąc swoją posługę kapłańską, w krótkim czasie stał się solą w oku reżimu. Tutaj wraz z innymi księżmi został zmuszony do noszenia ciężkiego garnka pełnego gorącej zupy. Podczas transportu złamał rękę i został przewieziony do szpitala polowego, gdzie otrzymał trzy dni tzw. ochrony. Po trzech dniach, ze złamaną ręką, został zmuszony do ponownego przenoszenia ciężkiego kotła. Wkrótce jego stan zdrowia znacznie się pogorszył, nogi spuchły i konieczne było ponowne przewiezienie go do szpitala polowego. Poddany przymusowej pracy i nieludzkim warunkom życia, w wyniku obrażeń odniesionych podczas przenoszenia kotłów, zmarł w baraku szpitalnym 30 maja 1942 r., w dniu Trójcy Świętej. Miał 43 lata, prawie 25 lat życia zakonnego i niemal 15 lat kapłaństwa.

25 maja 2026

Świętość męczenników

Chociaż męczeństwo jest oczywistym dowodem świętości, to jednak nie było ono wynikiem jednorazowej sytuacji, w której do niego doszło. Musiało je poprzedzić praktykowanie cnót przez męczenników, którzy uprawiali żyzną glebę pod zasiew nowego „chrztu z krwi”. Z zeznań świadków i dokumentów można wywnioskować, jaką postawę zachowali słudzy Boży podczas ich męczeńskiej śmierci. Skąd czerpali siłę do znoszenia upokorzeń i straszliwych cierpień? Musieli ją czerpać z nadprzyrodzonej łaski, którą w całym swym życiu praktykowali i pielęgnowali, poprzez przyjmowanie i udzielanie sakramentów świętych, poprzez Eucharystię i spowiedź, zwłaszcza w obozie, gdzie przygotowywali wielu współwięźniów do spokojnej śmierci. Służba ta była często wykonywana potajemnie, pod osłoną ciemności nocy oraz pod ciągłą i palącą groźbą surowych kar lub śmierci.

Jako przykład można podać szczególną odwagę i męstwo ks. Kazimierza Wojciechowskiego, który oddał się w ręce niemieckich żołnierzy w miejsce ks. Jan Świerca, podobnie jak ks. Szembek w miejsce swego przełożonego ks. Walentego Kozaka, lub niezachwianą wiarę ks. Goldy, nazwanego „męczennikiem spowiedzi” za to, że pomimo zakazu nazistów udzielił sakramentu pokuty żołnierzom SS. Tylko święty człowiek mógł na coś takiego się zdobyć.

Święty Jan Paweł II mówił, że „męczeństwo jest wyraźnym znakiem świętości Kościoła, wierności świętemu prawu Bożemu, jest uroczystym głosem Ewangelii i całkowitym zaangażowaniem aż do przelania krwi, aby blask prawdy moralnej nie został przyćmiony w obyczajach i mentalności ludzi i społeczeństw”. A w innym miejscu, odnosząc się ponownie do męczenników XX wieku, przypomniał, że męczennicy są światłem dla Kościoła i ludzkości: „chrześcijanie Europy i świata, pochyleni w modlitwie nad granicami obozów koncentracyjnych i więzień, muszą być wdzięczni za to światło: było to światło Chrystusa, które rozjaśnili w ciemnościach”.

Autor listu do Hebrajczyków wypomina swym adresatom: „Jeszcze nie opieraliście się aż do przelewu krwi, walcząc przeciw grzechowi” (Hbr 12, 4). Aby się na to zdobyć, trzeba sobie dobrze uświadomić, czym jest grzech i czym jest miłość Chrystusa. Trzeba niejako z tym się oswajać przez całe życie, aby zdobyć się na heroizm, na który nie wszystkich jest stać. Nie jest on też nakazem Chrystusa, lecz jest zachętą i propozycją: jeśli chcesz... Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje (Mt 16, 24). Właśnie ta dobrowolność, ta wola wyróżnia ludzi świętych od innych chrześcijan.

Ponadto, aby można było mówić o męczeństwie, konieczne jest, aby ostateczną przyczyną śmierci była wiara w Boga, zarówno dla ofiary, jak i dla prześladowcy, który będzie ją zmuszał do działania z nienawiści do wiary. Nasi męczennicy byli na to

przygotowani. Podczas aresztowania zdawali sobie sprawę, że czeka ich męka i śmierć. Znali sytuację, znali niemieckich nazistów i ich grzech nienawiści do wiary. Przyjęli to aresztowanie i czekające ich męczarnie w duchu wiary i w całkowitym zawierzeniu Bogu. To była wiara na miarę wiary Abrahama, który nie zawahał się złożyć w ofierze swojego jedyne syna Izaaka. To była wiara na miarę św. Maksymiliana Kolbego, który całkiem świadomie i dobrowolnie oddał się esesmanom na mękę i śmierć głodową dla ratowania swego współtowarzysza cierpienia.

Salezianie męczennicy z Dębniak stali się przedmiotem „szczególnej” uwagi oprawców właśnie ze względu na ich niezłomną wiarę, ale ostatecznie to oni zostali zwycięzcami, a ich oprawcy – wielkimi przegranymi.

26 maja 2026

Wierni synowie św. Jana Bosko

„Dla was studiuje, dla was pracuję, dla was żyję i także dla was gotów jestem oddać życie!”. Jakże to powiedzenie św. Jana Bosko pasuje do naszych męczenników. Swą męczeńską śmiercią przypieczętowali oni to wszystko, czego w swoim życiu dokonali: poświęcenie się Bogu i młodzieży w Zgromadzeniu Salezjańskim. Od momentu wstąpienia do Zgromadzenia zostawili dom, rodzinę, przyjaciół, porzucili zamiar ułożenia sobie życia i zrobienia w świecie kariery. W większości byli przecież nieprzeciętnie uzdolnieni. Ślubując czystość, ubóstwo i posłuszeństwo zrezygnowali z dóbr i uciech tego świata, zrezygnowali z decydowania o sobie. Wszystko przyjmowali jako dar od Pana Boga, za który byli mu wdzięczni, również tę śmierć męczeńską, na którą byli gotowi. Złożenie ślubów wieczystych oznacza zmianę perspektywy i celów życia – z ziemskich na wieczne. Odtąd żyli i pracowali już nie dla siebie, lecz dla Boga i dla zbawienia dusz, zwłaszcza ludzi młodych. Z opisu ich biografii wynika, że się nie oszczędzali w spełnianiu swych obowiązków, że byli w tym bezinteresowni, że wykonywali jeszcze więcej niż od nich wymagano i oczekiwano.

„Da mihi animas, coetera tolle” – „daj mi dusze, resztę zabierz”, salezjańskie hasło św. Jana Bosko, w ich życiu nabrało dosłownego znaczenia. Odkąd zabrano im wolność, stracili wszystko: swoją godność – nie tylko kapłańską, ale i tę ludzką – opłakane warunki życia, poniżający sposób traktowania, nędzne jedzenie, liche ubranie, traktowanie jak przestępców za ich gorliwą pracę duszpasterską i wychowawczą i te straszne oskarżenia o wrogą działalność, o nacjonalizm, demoralizowanie młodzieży i ogłupianie ludzi. Wszystko to było niestusne i podłe, ale nie mieli szans na żadną obronę. Stracili prawo do wolności, do wyznania wiary, do sprawiedliwego sądu, do ojczyzny. Nic się po nich nie zachowało. Zostały tylko prochy z ich ciał, spalone w krematorium i rozsypane na polach obozu. Ale coś jednak po nich zostało – nieśmiertelne dusze – ich własne, jak i dusze tych, o których się troszczyli jako salezjanie, dusze więźniów w obozie, które przygotowywali na śmierć i życie wieczne.

Maryja Wspomożycielka pomogła im wytrwać w wierności i ocalić swoje dusze. W sumie przecież to jest najważniejsze. „Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swoją duszę?” (Mt 16, 26). Bezcenna wartość duszy okazuje się dopiero wtedy, gdy człowiek wszystko straci. Gdy mu już nic nie zostanie, wtedy dusza jest oczyszczona z wszelkich naleciałości, które ją osłabiają i osłaniają. To jest coś podobnego, jak złoto w tyglu, które podlega oczyszczeniu przez wypalenie wszelkich zanieczyszczeń, aż zostanie samo, szczere złoto.

Dlatego zarówno wtedy, jak i dziś toczy się walka o ludzkie dusze. Nie tyle o to, czy ktoś wierzy w Boga, czy nie wierzy, lecz o to, czy ma duszę, czy jej nie ma. Nowy

ateizm nie głosi już, że Boga nie ma, ale że duszy nie ma, piekła nie ma, grzechu nie ma, szatana nie ma. W ten sposób chce zawładnąć człowiekiem i zmusić do uległości, odciągając go od zbawienia. Kto się mu sprzeciwi, ten staje się wrogiem, jest zwalczany, wyśmiewany, prześladowany. Wszystkim okupantom najbardziej o to właśnie chodzi – o złamanie człowieka, żeby się przyznał do tego, czego nie zrobił. Żeby sprzedał swoją duszę diabłu i zatracił ją w piekle.

Nasi męczennicy co prawda stracili życie, ale zachowali swoje dusze, swoją godność i odzyskali wolność ducha. Nie ulegli naciskom i torturom w czasie okrutnych przesłuchiwań. Nie ulegli nienawiści wskutek pastwienia się nad nimi. Umierali w boleściach, ale z honorem, nie jako pokonani, ale jako zwycięzcy, dlatego zasłużyli sobie na miano błogostawionych, czyli szczęśliwych.

27 maja 2026

Polscy salezjanie

Prawie wszyscy nasi męczennicy zdobywali swe salezjańskie umiejętności i wykształcenie we Włoszech, w kraju św. Jana Bosko. Po powrocie do ojczyzny, z wielkim zapałem przystąpili do zaszczepiania charyzmatu salezjańskiego na ziemiach polskich, gdzie znaleźli podatny grunt, bo duch Księdza Bosko był bliski polskiej duszy. Zgromadzenie szybko się rozwijało i rozrastało. W 1933 r. liczyło już na ziemiach Polski 32 domy i ponad 500 współbraci. Salezjanie prowadzili 22 szkoły średnie, w tym liczne szkoły zawodowe, które cieszyły się dużą renomą. Oprócz szkół prowadzili także 23 internaty, 16 domów dziecka, dwie bursy oraz oratoria. Głównym ośrodkiem edukacyjnym był zakład w Oświęcimiu, który stał się wzorem dla kolejnych powstających placówek. Działalność ta była intensywna, a sieć szkół stale się powiększała, aż do 1939 roku, kiedy to wybuchła wojna.

Podobnie było w duszpasterstwie. O ile przed II światową salezjanie mieli pod swoim bezpośrednim zarządem jedenaście parafii w Polsce, o tyle w czasie wojny jedyną funkcjonującą była parafia w Czerwińsku (diecezja płocka), gdzie jednak posługę religijną można było pełnić jedynie w granicach przyznanych przez władze niemieckie. Ponieważ ich praca duszpasterska i wychowawcza okazała się mocnym czynnikiem wpływającym na kształtowanie polskiej tożsamości narodowej i kultury, dlatego Niemcy zlikwidowali wszystkie szkoły i wszystkie parafie, pozostawiając tylko jedną szkołę w Oświęcimiu i jedną parafię w Czerwińsku, chcąc stworzyć pozór, że nie do końca prześladowają Kościół w Polsce.

Prawda jednak była inna. Niemcy obawiali się, że znacząca liczba dobrze wykształconych i patriotycznie ukształtowanych wychowanków będzie przeszkodą dla ich imperialistycznych zapędów. Zdawali sobie ponadto sprawę, że patriotycznej tkanki społecznej narodu nie da się unicestwić inaczej jak tylko za pomocą precyzyjnego programu: prześladowań, usunięcia z ojczyzny, przymusowej pracy w nieludzkich warunkach i wreszcie śmierci. Program narodowego socjalizmu realizowano, starając się zachować pozory legalności: każda forma buntu była traktowana jako atak na podstawy państwa prawa. Kościół stał się głównym wrogiem opresyjnego reżimu, który nie marnował okazji, by go oskarżać i uderzać. Jeden z największych nazistowskich ideologów, Heinrich Himmler, stwierdził: „W naszych czasach nie będzie już można być męczennikiem. My się tym zajmujemy, dopilnujemy, by ludzie tego pokroju skończyli w zapomnieniu”.

Tak się jednak nie stało. Dzięki takim ludziom, jak ks. Jan Świerc i jego towarzysze, pamięć o nich przetrwała. Niemcy do tej pory robią wszystko, aby zatrzeć wszelkie ślady swoich zbrodni, przeinaczając i zakłamując historyczną prawdę. Dlatego

beatyfikacja naszych dziewięciu błogosławionych bohaterów z pewnością podważy tę ich narrację i ugruntuje przekonanie o tym, kto był katem, a kto ofiarą.

Dziś, gdy miesza się prawdę z fałszem, dobro ze złem, fakty z fake newsami, ważne są mocne świadectwa ludzi, którzy za prawdę tak bardzo cierpieli i oddali swoje życie. Takich ludzi oprawcy się boją, dlatego robią wszystko, aby zamknąć im usta. Jednak w przypadku męczenników, już nic nie mogą zrobić, bo oni są już wyniesieni ponad sprawy tego świata, oni już teraz są wyrzutem sumienia dla zbrodniarzy, a głosem sumienia dla przyszłych pokoleń.

Dokąd pracowali jako salezjanie, byli na wzór Księdza Bosko, ojcami i nauczycielami dla młodzieży. Teraz jako święci męczennicy stają się na wzór Jezusa Chrystusa błogosławionymi prześladowanymi dla sprawiedliwości, którym ludzie urągali i mówili kłamliwie wszystko złe na nich z Jego powodu. Wtedy bardzo cierpieli, teraz bardzo się radują, bo wielka jest ich nagroda w niebie.

28 maja 2026

Uwiarygodnienie kapłaństwa

Pierwszą strategią wdrożoną przez nazistowskie Niemcy było rozbitcie polskiego Kościoła, przez uderzenie w hierarchę. Potwierdziła się tu ewangeliczna zasada: „Uderzą w pasterza, a rozproszą się owce stada” (Mt 26, 31). Doprowadziło to do rozczłonkowania diecezji, które zostały pozbawione głównego ośrodka decyzyjnego, a mianowicie Konferencji Episkopatu Polski. Prymas Polski, arcybiskup poznańsko-gnieźnieński kardynał August Hlond, wkrótce został wygnany. Posługa duszpasterska i przetrwanie Kościoła zostały wkrótce podporządkowane kapryśnej woli władz niemieckich okupujących poszczególne okręgi administracyjne kraju. Na mocy dekretu wydanego przez Kancelarię Rzeszy 13 września 1941 r. Kościół utracił osobowość prawną na całym terytorium Polski, został natychmiast uznany za przeszkodę w szerzeniu „niemieckości” na Wschodzie i poddany prześladowaniom. Zakazano wszelkich kontaktów ze Stolicą Apostolską, a konkordat z Rzeczpospolitą Polską z 1925 roku uznano za nieważny. Również zakony zostały zlikwidowane, ponieważ były sprzeczne z niemiecką koncepcją moralności i polityką narodowego socjalizmu.

Polscy katolicy, pozbawieni opieki Stolicy Apostolskiej, szybko stali się celem niemieckiej furii, która jednak nie całkowicie zdołała sparaliżować działalność duszpasterską. Duchowieństwo, pomimo aresztowań i deportacji, okazało się zdolne do przeciwstawienia się presji władz niemieckich, potajemnie kontynuując ewangelizację i niosąc moralne i materialne wsparcie ludności. Silnie patriotyczna postawa polskiego Kościoła jeszcze bardziej wzmocniła jego więź ze społeczeństwem obywatelskim.

Po wygnaniu przez nazistów Prymasa Polski, kardynała Augusta Hlonda, episkopat Polski skupił się wokół arcybiskupa krakowskiego Adama Stefana Sapiehy, który pomimo mnożących się aresztowań i egzekucji robił wszystko, co w jego mocy, aby moralnie wspierać polski ruch oporu. Ponadto rozpowszechnianie wiadomości za pośrednictwem prasy zostało poważnie ograniczone, a środki masowego przekazu stały się potężnymi propagatorami nazistowskiej ideologii. Każde pismo podlegało ścisłej kontroli organów kontrolnych. Narzucono ścisły system proreżimowej edukacji. W ten sposób całe życie ludzi zostało poddane ścisłemu nadzorowi.

Sytuacja ta jakże przypomina nam to, co dziś dzieje w Polsce i na świecie. Prześladowanie za wiarę z roku na rok zwiększa swoje krwawe żniwo. Kościół jest ośmieszany, poniżany i potępiany za opór wobec ewidentnego zła, jakim jest aborcja, tzw. edukacja zdrowotna czy cała fala rewolucji seksualnej, domagającej się zmiany płci i legalizującej jednorodne związki partnerskie i inne wynaturzenia. Kościół zdecydowanie się temu przeciwstawia, broniąc każdego człowieka, dlatego staje się celem perfidnych ataków na duchowieństwo. Wszystkie nadużycia i skandale

seksualne duchowieństwa są bezwzględnie wykorzystywane do kreowania obrazu księży jako materialistów, pasożytów i zбочeńców.

Jakkolwiek nie da się zaprzeczyć poszczególnym przypadkom, to jednak uogólnienie ich na wszystkich jest niesprawiedliwie i dalece krzywdzące. Jest wielu gorliwych i świętych kapłanów, którzy z poświęceniem troszczą się o dusze ludzkie i o ład moralny w naszym narodzie. Kościół robi naprawdę dużo, angażując się w różne akcje charytatywne, a salezianie w dobro dzieci i młodzieży.

Dlatego przykład naszych męczenników z pewnością przyczyni się do uwiarygodnienia stanu kapłańskiego, a zarazem do wynagrodzenia wszystkich jego nadużyć. Ich męczeństwo, bicie, poniżanie, torturowanie, szarganie ich dobrego imienia, traktowanie ich przez gestapowców jak największych zbrodniarzy może być uznane za wyraz ekspiacji, a zarazem prezentacji postaci księdza jako człowieka pełnego poświęcenia, zdolnego ponieść najcięższe ofiary, ukazując prawdziwe oblicze Chrystusa, który za nas cierpiał i umierał z miłości.

29 maja 2026

Przesłanie nadziei

Śludzy Boży ks. Jan Świerc i jego ośmiu towarzyszy są dziś dla nas świetlanym przykładem nadziei, że zło nigdy nie zwycięży, że warto walczyć, będąc nawet na straconych pozycjach i wytrwać w tej walce do końca, nie poddać się, nie skapitulować i nie szukać wyjścia z beznadziejnej sytuacji na własną rękę. Tertulian tak radził pierwszym męczennikom: „Czeka was dobra walka, w której widzem i sędzią jest tylko Bóg; Duch Święty waszym trenerem, a nagrodą – wieczna korona. Jezus Chrystus zabrał was z wygodnego życia i wystawił na ciężką próbę, abyście ćwiczyli się w wytrwałości. Im trudniejsza walka, tym mocniejsza nadzieja na życie wieczne, jedyne prawdziwe dobro, które można zachować nawet za cenę życia na ziemi”.

Taka nadzieja przyświecała ks. Janowi Świercowi i jego ośmiu towarzyszom. Jako zakonnicy i salezianie, naśladowując z bliska Jezusa Chrystusa i idąc za przykładem św. Jana Bosko, dawali młodzieży nadzieję, na dobre i wieczne życie. Młodzież widząc ich poświęcenie się dla nich, wzrastała w odwadze podejmowania coraz to większych wysiłków stawania się dobrymi chrześcijanami i uczciwymi obywatelami. Wiedziała, że nic w życiu nie przychodzi łatwo, że o wszystko trzeba walczyć i zabiegać wszystkimi siłami, bo tego uczyli się od swoich wychowawców.

Ksiądz Bosko umarł przedwcześnie z wyczerpania. Jego organizm był kompletnie wyniszczony nadludzką pracą, choć miał dopiero 72 lata. Nie oszczędzał się, bo wiedział, że diabeł nie śpi i nie wolno dać mu się przechytryć. „W niebie będę odpoczywał” – odpowiadał wszystkim, którzy chcieli go trochę powstrzymać. Prawdziwy wychowawca, któremu naprawdę zależy na wychowankach, nigdy nie powie: dość, wystarczy, już więcej nie mogę. Walczy o młodzież do końca, do śmierci. Wtedy nadzieja zyskuje swój blask i swoją wiarygodność.

Święty Jan Paweł II mawiał do młodzieży, że jest nadzieją świata i jego nadzieją. Zawsze cenił dzieło wychowawcze św. Jana Bosko i jego uprzedzający system wychowawczy. Wiedział, że w młodzieży znajdują się niespożyte zasoby dobra i energii do jego realizacji, że trzeba je tylko umiejętnie z niej wydobyć i pobudzić do działania. Wiedział, że trzeba szybko działać, być szybszym od szatana, który tylko czyha na ich dusze, i uprzedzić jego złe zamiary dobrem. „Nie przeciwstawiajcie się złu, lecz zło dobrem zwyciężajcie!” (Mt 5, 38).

W tym miejscu trzeba by przywołać świadectwo lekarza, który w obozie operował ks. Ludwika Mrocza – „Patrzę na niego z podziwem. Nigdy nie widziałem takiego człowieka w mojej długiej karierze w klinice. Jego bóle są nadludzkie, a jego twarz promienieje radością i wciąż powtarzał: »Jak dobrze, jak dobrze, panowie«. Gdybyśmy nie mieli kapłanów o takich zdolnościach – kontynuował lekarz – byłibyśmy sto razy gorsi i bardziej nikczemni niż jesteśmy”.

A o ks. Karolu Goldzie tak wspominał jeden ze współwięźniów: „Obóz koncentracyjny stał się dla niego nieoczekiwanym miejscem apostołstwa: ks. Karol miał pogodne usposobienie, był optymistą i umiał przekazywać innym pogodę ducha i umiejętność panowania nad sobą. Wolny czas spędzał ze współwięźniami, pocieszał ich, wspierał, spowiadał, żegnał na ostatnią drogę. Nikt nie jest w stanie przedstawić ogromu jego kapłańskiej pracy, wykonywanej w ukryciu”.

O ks. Szembeku zostało takie świadectwo: „Po najcięższych mękach w obozie wracał do celi więziennej rozpromieniony, chwalać Pana, że mu pozwolił choć trochę zakosztować tych cierpień, jakich doznał Chrystus na krzyżu. Współwięźniowie powtarzali, że mimo cierpień i mąk, nigdy na jego twarzy nie widzieli strachu, smutku czy rozpacz. Wręcz przeciwnie, był zawsze uśmiechnięty i zadowolony. Nigdy się na nic i nikogo nie skarżył. Przez to wśród współwięźniów zaskarbił sobie uznanie i zaufanie”.

30 maja 2026

Przebaczenie i miłość miłosierna

Podczas modlitwy Anioł Pański w uroczystość św. Szczepana papież Franciszek przypomniał wiernym, że męczennicy nie tylko wykazali heroizm w gotowości do dawania świadectwa wiary własnym życiem, ale także wykazali się niezwykłym heroizmem przebaczenia: tak wczoraj, jak i dziś „pojawia się ciemność odrzucenia życia, ale światło miłości świeci jeszcze jaśniej, przewyciężając nienawiść i inaugurując nowy świat [...]. Ale możemy zapytać – jaki jest sens przebaczenia? Czy jest ono tylko dobrym uczynkiem, czy też przynosi coś wielkiego? Odpowiedź znajdujemy właśnie w męczeństwie Szczepana. Wśród tych, których błagał o przebaczenie, był młody człowiek imieniem Szaweł, który prześladował Kościół i próbował go zniszczyć (por. Dz 8,3). Wkrótce potem Szaweł stał się Pawłem, wielkim świętym, apostołem pogan. Otrzymał przebaczenie od Szczepana. Możemy powiedzieć, że Paweł narodził się z łaski Bożej i przebaczenia Szczepana”.

Możemy to powiedzieć również o słudze Bożym ks. Włodzimierzu Szembeku, który najprawdopodobniej modlił się i swe cierpienie ofiarował za nawrócenie komendanta obozu Auschwitz Rudolfa Hessa. Przed wymierzeniem mu kary śmierci przez powieszenie poprosił o spowiedź i żałował za wszystkie swoje zbrodnie.

Podobnie było w przypadku pozostałych salezjańskich męczenników. Choć mieli świadomość, że jako księża katolicy są niechronionym celem nazistowskiej nienawiści, która pochłonęła wiele ofiar wśród ich braci przed nimi. Czuli się odpowiedzialni za tych, których tam spotkali, starając się ich wspierać duchowo. Pomimo nałożonego na nich zakazu konsekrowali Eucharystię, udzielali sakramentu pokuty i przygotowywali na śmierć tak wiele dusz pozbawionych tożsamości i godności przez nazistowskich katów. Żar ich miłości, który był szczególnie intensywny w najbardziej dramatycznych godzinach, odbija się echem w relacjach świadków, którzy wśród wielu ofiar obozów koncentracyjnych rozpoznali w dziewięciu Sługach Bożych wyjątkowe i niepowtarzalne świadectwo wiary.

Liczni świadkowie jednoznacznie podkreślają tę ich niezwykłą wiarę. Kiedy wydawało się, że śmierć odniosła zwycięstwo, prawdziwymi zwycięzcami okazali się ci, którzy cierpiąc z powodu wiary, potrafili w niezwykły sposób uczestniczyć w Krzyżu Chrystusa i całkowicie przyłgnąć do Niego. Na taką wiarę stać jest tylko tych, którzy się całkowicie oddali Chrystusowi i zatracili w Jego miłości. Nigdy nie słyszano, aby skierowali jakieś słowa nienawiści do swoich oprawców, ale raczej powierzali to wszystko i tych wszystkich, którzy z nimi cierpieli, Panu nieustannymi modlitwami i błaganiami. Siła i pogodna wytrwałość, jaką zachowali słudzy Boży ks. Jan Świerc i ośmiu jego towarzyszy w pełnieniu posługi kapłańskiej nawet w czasie uwięzienia, stanowiły prawdziwy akt sprzeciwu wobec nazistów: choć wyczerpani upokorzeniami i

torturami, wbrew wszelkim zakazom, służy Boży do końca strzegli powierzonych im dusz i okazali się gotowi, pomimo ludzkiej słabości, przyjąć śmierć za więźniów i swych oprawców.

W sierpniu 2002 roku samochód św. Jana Pawła II wracający z Łagiewnik zatrzymał się przy kościele salezjańskim na Dębnikach, a on wtedy powiedział: „Zawsze pamiętam tych salezjanów, którzy stąd zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego. Większość z nich nigdy nie wróciła. Zawsze będę o tym pamiętał...”. My też pamiętajmy o nich i módlmy się o nowe i święte powołania kapłańskie, bo ich krew męczeńska użyźniła naszą polską ziemię, z której wyszło tylu wspaniałych świętych.